Cena 500.000 mk.

PRENUMERATA
Z PRZESYŁKĄ
mk. 7.500.000 kwartalnie.

OGŁOSZENIA:
za wiersz wysokości 1 mm. szerokości 1 szpalty mk. 500.000 za tekstem; mk. 750.000 w tekście; drobne mk. 100.000 za słowo.

Kolumna posiada 6 szpalt.

REDAKCJA Złota nr. 8, m. 5, tel. 132-82, codziennie od godziny 15 — 16.

ADMINISTRACJA: Świętokrzyska nr. 30 m. 5, tel. 223-04, codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 9—15.

Konto czekowe nr. 8515.

WIADOMOŚCI LITERACKIE

TYGODNIK

Nr. 10 | Warszawa, Niedziela 9 marca 1924 r. | Rok I

Pamiętniki Leona Bilińskiego

Wojna europejska — Walka o Polskę — Orjentacja austrjacka — Piłsudski — Pierwsze formacje wojskowe

Leon Biliński

Charakterystyka ogólna.

Nakładem Księgarni F. Hoesicka ukaże się w czasie najbliższym pierwszy tom „Wspomnień" Leona Bilińskiego. W ubogiej literaturze pamiętnikarskiej współczesnej Polski dzieło to zajmie miejsce wybitne i jedyne, stanowiąc co więcej doniosły wkład do politycznej literatury europejskiej ze względu na stanowisko, jakie zajmował Biliński w monarchji austrjacko-węgierskiej, szczególniej w chwili wybuchu wojny. Przedewszystkiem jednak stanowi ono bezcenne źródło do dziejów sprawy polskiej przed wybuchem wojny, do jej perypetyj w dobie wielkiej katastrofy światowej, do jej nowej fazy po traktacie wersalskim. Przynosi szereg pierwszorzędnych materjałów do historji Polski wskrzeszonej, kiedy Biliński sprawował urząd ministra skarbu. Oświetlenie wielu spraw przez Bilińskiego jest niesłychanie sensacyjne, często rewelacyjne, zawsze ciekawe, — i wywoła napewno ożywioną polemikę.

Z tomu pierwszego przytaczamy kilka fragmentów z rozdziałów końcowych, dotyczących początków wojny europejskiej i samoistnych poczynań polskicb w zaborze austrjackim w tym ciężkim momencie dziejów świata.

Należy zaznaczyć, że Biliński piastował wtedy tekę wspólnych finansów i na mocy swego stanowiska był równocześnie wielkorządcą Bośni i Hercegowiny, gdzie w końcu czerwca 1914 r. rozegrał się ponury dramat: zabójstwo austrjacko-węgierskiego następcy tronu i jego małżonki. Po szczegółowym opisie zamachu serajewskiego Biliński przechodzi do samego wybuchu wojny. Następuje opis przebiegu słynnego ultimatum do Serbji, gdzie zwraca uwagę twierdzenie niezwykle ważne, że „już w dn. 7 lipca można było wnosić i z przemówień Berchtolda i z wyjaśnień, dawanych z Berlina przez hr. Hoyosa po znanem śniadaniu ambasadora austrjacko-węgierskiego Szögyeny'ego i cesarza Wilhelma dn. 5 lipca 1914 r., że sprzymierzeńcy zdecydowani są na szanse wojny".

Plany hr. Berchtolda.

Dalej pisze Biliński:

„Od chwili wybuchu wojny przestałem siłą konieczności dziejowej być ministrem bośniackim, a stałem się faktycznie ministrem polskim, poczuwając się z całem społeczeństwem polskiem do wspólności w uczuciu, iż wojna ta zadecyduje o losie Polski. Hr. Berchtold miał w pierwszej chwili poczucie, iż monarchja staje nagle wobec sprawy polskiej. Hr. Hoyos był mu doradcą w tym duchu, trzymając się jednak granic, nakreślonych tej polityce przez Węgrów, a raczej przez Tiszę: Polska miała być według własnego gustu połączona jako samoistne państwo z Austrją, ale nie z Austro-Węgrami. Wiedziałem o tem już od Buriana, którego, jak opowiedziałem wyżej, wysłałem był jako pośrednika do Tiszy. Nawet jeszcze w 1918 r. w styczniu, po upadku Tiszy, był premjer Weberle tego samego zdania, i kosztowało mnie to wiele trudu, aby go od tej myśli odwieść. W tym samym duchu wpływałem na Berchtolda.

Początki legjonów.

„Pierwszych dni w sierpniu przybył do Wiednia z Krakowa prezes Koła Polskiego dr. Leo, polityk bardzo zdolny i patrjotyczny i ze mną aż do końca w najlepszych zostający stosunkach (zmarł w r. 1918). Przesiedziałem z nim cały dzień u Berchtolda w towarzystwie szefa sztabu Conrada. Stanęło na tem, że mają być utworzone legjony polskie; skonstatowałem wobec Conrada, że ich komenda musi być polska, na co otrzymałem „zaspokajające oświadczenie", że po wojnie zwycięskiej narody zgodzą się i bez tego na jednolitą komendę niemiecką! Zapytałem, czy wierzy w to także u Węgrów? I na to otrzymałem odpowiedź potakującą. O sancta simplicitas! Tacy to ludzie mieli prowadzić — bez jakiegokolwiek ograniczenia zgóry — wojnę, najważniejszą i najsubtelniejszą część polityki państwa! Widzieliśmy ich zdolności polityczne już przy koncepcji manifestu obu armij do Polski, którego nam „cywilistom" przedtem naturalnie nie pokazano; widzieliśmy je w szalonych błędach ich polityki polskiej w Galicji samej, zarówno jak w Królestwie, jeżeli ucisk osobisty, ucisk polityczny, a także zakaz mówienia i myślenia w armji o sprawie polskiej wolno nazwać „polityką"! Okazało się to zaraz przy tworzeniu legjonów polskich. Sam sztab generalny kokietował w ciągu wojny bałkańskiej i aż do wybuchu wojny światowej z młodzieżą polską, jako przyszłym materjałem palnym przeciwko Rosji. W całej Galicji rozdawano młodzieży w miastach a po części i na wsi broń, dodawano jej do ćwiczeń oficerów i popierano tem czynnie tajne i półtajne, niezawisłościowe i inne organizacje tej młodzieży, nie mogąc przytem chyba przypuszczać, że będzie ona myślała o „lojalności austrjackiej". Już w owych czasach namiestnik Bobrzyński wyrażał troskę co do przyszłości tej niejasnej akcji. Odbyliśmy z Berchtoldem, Stuergkhem i gen. Schemuą konferencję raz u mnie, drugi raz u Berchtolda, ażeby otrzymać zapewnienie, że młodzież nie zostanie przedwcześnie wysłana na terytorjum rosyjskie i wymordowana bezowocnie. To na szczęście nie nastąpiło; ale z drugiej strony akcja powyższa była prowadzona przez sztab generalny tak jednostronnie, że gdy wskutek znanej uchwały poselskiej w Krakowie z dn. 16 sierpnie 1914 r., spowodowanej przez prezesa Leo, legjony zostały utworzone, władze wojskowe w Wiedniu nie wiedziały nic ani o legionach, ani o ich związku z powyższą akcją sztabu generalnego. Jeszcze w sierpniu odbyła się u hr. Stuergkha konferencja z udziałem Bobrzyńskiego, moim i ministra obrony krajowej Georgiego, na której musieliśmy tłumaczyć temu obowiązki, przyjęte przez sztab generalny w sprawie tworzenia legjonów, i spowodowaliśmy wydanie odnośnych rozkazów do władz wojskowych w Krakowie. Ale równocześnie i sam sztab raczył zapomnieć o swej własnej inicjatywie. Kiedy całe społeczeństwo polskie w Galicji we wszystkich bez wyjątku stronnictwach stanęło po stronie legjonów, kiedy naczelnik tajnej organizacji warszawskiej Józef Piłsudski złożył dobrowolnie tę godność, ażeby swoją organizację niezawisłowościową połączyć z organizacją legionową, — p. gen. Conrad nie przychylił się w swej głównej kwaterze do ustnej prośby prezesa Leo, by legjony, zmuszone łączyć się z armją austro-węgierską jako część tak zwanego „Landsturmu", mogły do przysięgi wierności cesarzowi dodać wierność Ojczyźnie polskiej. I stosownie do tej „zasadniczej" swej decyzji, postępował sztab generalny przez cały czas wojny: dla legjonów nie było w czas broni, dla legjonów były stopnie oficerskie o całą rangę niższe niż w armji, legjony, przeznaczone do walki za Polskę, wysyłano do obrony Węgier i Bukowiny, używano ich do walk najniebezpieczniejszych, a tak mało to uznawano, że wyrobił się był przyjazny niemal stosunek legjonów nie do armji austrjacko-węgierskiej, lecz do niemieckiej, pełnej zawsze podziwu dla naszych bohaterów! Prawda, że „u góry" podnoszono zawsze to bohaterstwo: przedewszystkiem cesarz, a za nim Georgi, najwyższy przełożony legjonów poza polem bitwy. Ale przytem narzekano zawsze na wieczne z niemi „kłopoty" natury administracyjnej, zapominając, że wolontarjusz, idący walczyć dla szczególnego celu politycznego, nie może być traktowany pod względem dyscypliny narówni z żołnierzem fachowym.

Legjon wschodni i rozłam w N. K. N.

„W dn. 16 sierpnia 1914 r. stworzono w celu organizacji legjonów „Naczelny Komitet Narodowy" (N. K. N.), złożony z reprezentantów wszystkich bez wyjątku stronnictw i pod kierownictwem prezesa Leo. Ta zgodność stronnictw nie trwała niestety długo. Uchwalono tworzyć w Krakowie legjon zachodni (pod kierownictwem posła konserwatywnego Jaworskiego) i wschodni (pod kierownictwem dawnego prezesa komitetu wykonawczego i Stronnictwa Wschodnio-Galicyjskiego (Centrum), posła Cieńskiego). Gdy oba legjony zaczęły się zapełniać, postanowiono powołać legjon wschodni do Krakowa; komitet lwowski poruczył przewiezienie legjonu posłowi narodowo-demokratycznemu Stanisławowi hr. Skarbkowi. Przewóz ten się nie powiódł z powodu wielkiej rozterki politycznej w Galicji wschodniej pod wpływem tak chybionej przysięgi dla legjonistów jak i dokonywającej się tymczasem w pierwszej połowie września 1914 r. inwazji rosyjskiej. Legjon wschodni został rozwiązany po drodze w Mszanie Dolnej, a młodzież nasza popadła w ręce żandarmerji lub w nędzę. Fakt ten, którego bliższych szczegółów nie znam, wywołał na posiedzeniu N. K. N. gwałtowną scenę, w której ciągu miały ze strony posła Daszyńskiego paść słowa: „zdrada" i „stryczek". Wystąpili z komitetu delegaci Narodowej Demokracji i zbliżonego do nich stronnictwa Centrum. O zajściach tych przywiózł mi do Wiednia ustną wiadomość wiceprezes N. K. N. Jaworski, któremu starałem się być pomocy we wszystkich jego ciężkich potrzebach legjonowych, tak ówczesnych jak późniejszych za jego wiceprezesostwa i prezesostwa komitetu w Wiedniu. Mówił ze mną o tem w ministerstwie także poseł Daszyński. Widząc, że obie strony pragną załagodzenia sporu, starałem się wpłynąć w tym duchu na obie strony; p. poseł Daszyński byłby był skłonny do ustępstwa, książe Witold Czartoryski, który w tej sprawie odwiedzał mnie kilka razy z bliskim mi bardzo osobiście Stanisławem Stadnickim, nie był widocznie w stanie skłonić swoich towarzyszy do powrotu do N. K. N. Skutki tego zatargu były bez przesady nieobliczalne: trwają one jeszcze do dziś w przestarzałym sporze o tak zwane „orjentacje wojenne", bo pozostali w N. K. N. delegowani stronnictw, utrzymując się zgodnie z uchwałą z dn. 16 sierpnia 1914 r. przy koncepcji austropolskiej, otrzymali odtąd pogardliwą nazwę „Austrjaków" i znaleźli się wobec zwartej linji przeciwników w Galicji, a przedewszystkiem w Królestwie. Toż np. w r. 1915 na wiosnę podniosły się w komisji politycznej Koła Polskiego, o której opowiem później, skargi z Królestwa na legjony, które miały w Bolesławicach zastrzelić kilku włościan.

„Zdrada" Polaków.

„Ale i zaraz po owych zajściach objawiły się ciężkie skutki. Nie wiedząc jeszcze nic o zajściach w Mszanie Dolnej, rozmawiałem raz telefonicznie z hr. Stuergkhem o adresie do cesarza, o którym to adresie będzie mowa później. W ciągu tej rozmowy wspomniał szef rządu z żalem „o wielkiej zdradzie polskiej", czego nie mogłem w pierwszej chwili wcale zrozumieć. Ale — czy słusznie czy nie — tak a nie inaczej tłumaczono, pod wrażeniem inwazji rosyjskiej, t. j. chęcią zdrady, rozwiązanie legjonu. Wszak w parę tygodni później po zajęciu Galicji wschodniej aż po Kraków zgłosili się do mnie książe biskup Sapieha i książe Czartoryski z doniesieniem, że armja austrjacka pobita, że kawalerji już prawie niema (co było prawdą) i z żądaniem zawarcia pokoju. Gdy na to odrzekłem, że mogłoby to nastąpić tylko kosztem odstąpienia całej Galicji na rzecz Rosji i nie otrzymałem odpowiedzi, przyrzekłem podać żądanie tych panów do wiadomości Berchtolda. A w ministerstwie spraw zagranicznych i ten krok uważano za „zdradę". Toż wkrótce po rozwiązaniu legjonu władze wojskowe zażądały od namiestnika internowania Cieńskiego i wysłania go do południowego Tyrolu, skąd dopiero po jakich 2 czy 3 latach mógł się uwolnić. Namiestnik zaś sam przestrzegł hr. Skarbka przed możliwością internowania go i radził wyjazd do Szwajcarji. Wprawdzie jeszcze tuż przed moim wyborem na prezesa Koła hr. Skarbek odwiedził mnie, i po omówieniu sprawy mszańskiej stanęło na tem, by próbować załagodzić rzecz w Kole i u rządu bez wyjazdu. Ja się tego najchętniej podjąłem i w mowie swej inauguracyjnej w Kole rzuciłem myśl załatwienia sprawy legjonu wschodniego na konferencji kolegów kołowych, delegowanych przez wszystkie stronnictwa. Ale poseł Skarbek, zawsze dla mnie usposobiony nieprzychylnie, zrozumiał motywowanie mego wniosku jako wymierzone przeciw jego osobie, i wkrótce, mimo że był wiceprezesem Koła, wyjechał do Szwajcarji. Swoją drogą, powróciwszy w chwili przewrotu w jesieni 1918 r. i dostawszy się do władzy w Krakowie, położył wielkie zasługi około Polski przez bardzo energiczne a taktowne zarazem skłanianie tamtejszych władz wojskowych austrjackich do poddania się władzy polskiej.

Postulaty Piłsudskiego.

„W kilka miesięcy później (na wiosnę 1915 r. i już jako prezes Koła) zetknąłem się znowu z legjonami w sprawie dość ciekawej. Po ustąpieniu gen. Durskiego, który mi się swego czasu przedstawiał wraz ze swymi pułkownikami (dwaj Hallerowie i Sikorski), został komendantem legjonów mianowany gen. Puchalski. Jednym z jego pułkowników był brygadjer Józef Piłsudski; i między tymi wodzami nie było zgody, a gwoli jej przywrócenia przybyli do mnie obaj, poruczając mi tem samem misję bardzo zaszczytną. Brygadjera miałem już sposobność poznać za czasów, gdym piastował godność wspólnego ministra finansów; odwiedził mnie przy Johannesgasse i zrobił na mnie wrażenie polityka bardzo głębokiego i ostrożnego. Na obiad, który mu dawała wówczas kolonja polska, nie mogłem być proszony, czego tem bardziej żałowałem, że nie mogłem usłyszeć wielkiej mowy Piłsudskiego, w której m. in. ostro skarcił, ze stanowiska dyscypliny wojskowej, wystosowaną przez poprzedniego mówcę-oficera przestrogę przed narażaniem się brygadjera na niebezpieczeństwo w bitwach. Na urządzonem znacznie później przyjęciu legjonistów w hotelu Continental, gdzie poznałem znakomitego dziś generała i ministra Sosnkowskiego (wówczas szefa sztabu Piłsudskiego), nie był już obecny brygadjer. Na owej konferencji w biurze prezesa Koła, w której wziął udział także p. Habicht (z urzędu starszy prokurator austrjacki, wielki patrjota polski i bliski bardzo brygadjerowi), przedstawili obaj dygitarze swoje stanowisko. Piłsudski nie taił, że właściwie jemuby się należała komenda legjonów; ale poddałby się nowemu komendantowi, gdyby mógł przynajmniej wyjednać dla legjonistów pewne zmiany co do rang, awansów i t. d., w duchu równouprawnienia z armją austrjacką. W tym duchu nastąpiło też porozumienie, które swoją drogą nie trwało długo i sprowadziło w końcu usunięcie Piłsudskiego i, jeżeli się nie mylę, internowanie go w Krakowie. Ale dla mnie, niewojskowego, była więcej zajmująca szermierka dwóch generałów, tak bardzo do siebie niepodobnych: Puchalski—zacny bardzo i patrjotyczny Polak, ale wcale niewymowny i przedewszystkiem żołnierz, Piłsudski — wymowny, biegły w dyskusji, miłujący swoje legjony, ale przytem zarówno żołnierz jak polityk. Walka była więc bardzo nierówna między gorącym Małopolaninem a chłodnym Litwinem!... Brygadjer był zresztą na drugi dzień sam u mnie, przypuszczam gwoli politykowania, bośmy omówili całą kwestję austro-polską, nie wyłączając części wojskowej. Piłsudski, któremu przedstawiałem konieczność utrzymania jego powagi dla wielkiej roli, jaką mu przepowiedziałem w przyszłej odrodzonej Ojczyźnie, zgadzał się na całą konstrukcję austro-polską, a nawet zrozumiał, że armja wspólna austrjacko-węgiersko-polska będzie miała nadal komendę niemiecką, tylko zaś „obrona krajowa", w którą się po wojnie przemienić miały legjony, komendę polską. Przytem mnie osobiście raziła zbyt trywjalna nazwa „obrona krajowa", i zauważyłem, że wolałbym słyszeć nazwę „gwardja narodowa" lub coś podobnego na podobieństwo węgierskiej: „honwed". Ale gdy na drugi dzień rano oddałem brygadjerowi przed jego odjazdem wizytę w hotelu Müllera na Grabenie, — rozmawialiśmy na jego życzenie spacerując modo peripatetico w kurytarzu, — Piłsudski, powracając do naszej rozmowy wczorajszej, zrobił uwagę: „Niech tylko cesarz da nam język polski, to ja się zadowolnię nazwą „obrona krajowa". Tak trzeźwo oceniał sytuację ten wielki wódz o wielkim talencie politycznym.

W owych czasach zetknąłem się z Piłsudskim jeszcze raz w Krakowie, gdy w ciągu uroczystości listopadowych w r. 1916 (manifesty cesarskie!) złożył nam w loży prezydenta miasta wizytę na uroczystem przedstawieniu „Kościuszki pod Racławicami". Wszyscy obecni (prezes Leo, hr. Agenor Gołuchowski) umieliśmy cenić wielkiego gościa, ale nikt z nas wtedy chyba w nim nie przeczuwał godnego następcy „naczelnika" z pod Racławic, jakkolwiek młodzież w teatrze tak go gorąco aklamowała, że przedstawienie a nawet gra hymnu narodowego doznawały przerwy. Była to ta sama popularność, której wyraz usłyszałem r. 1915 w szkółce polskiej, dla uchodźców wiedeńskich, gdy młodzież na moje powitanie, jako gościa zwiedzającego szkółkę, zaśpiewała mazurek Dąbrowskiego, kończąc zwrotki zawsze słowami: „Marsz, marsz Piłsudski" i t. d.

W r. 1919 stanąłem jako dezygnowany minister polski przed naczelnikiem państwa, a mimowolna dla dygnitarza tej miary cześć przemieniła się wkrótce w podziw, gdy na konferencjach ministrów słyszałem niejednokrotnie ze strony naczelnika słowa, pełne zarówno dziwnie wzniosłej i oryginalnej wymowy jak głębokiej mądrości wytrawnego męża stanu.

Dzieje niedoszłego manifestu.

„Wróćmy teraz do początku sierpnia 1914 r. W tym samym czasie, gdy bawił w Wiedniu prezydent Leo, poruszyłem u Berchtolda wydanie manifestu cesarskiego do narodu polskiego z okazji zdobycia Kielc i spodziewanego wówczas— zbyt optymistycznie — zdobycia Warszawy. Berchtold się na to zgodził, z zastrzeżeniem zgody Niemiec, i polecił Hoyosowi wypracowanie konceptu. Ja pojechałem do biura z uwagi, że po południu mieliśmy znowu konferencję na Ballplatzu. W czasie, gdy po zatwierdzeniu spraw nagłych, zacząłem się zbierać na obiad do domu, wpadło mi na myśl, że manifest winien być raczej napisany przez Polaka. Już w poczekalni z kapeluszem w ręku zatrzymałem się, kazałem poprosić stenotypistkę i w ciągu kilkunastu minut podyktowałem jej koncept manifestu w języku niemieckim,—ogłoszenie miało naturalnie nastąpić w języku polskim. Po południu odczytałem mój projekt Berchtoldowi i jego prezydjaliście, którzy uznając, że jest cieplejszy od ich projektu, pozostali jednak przy swoim. Wtedy znowu przyszła mi myśl szybka. Zabrałem ze sobą bruljon Hoyosa, kazałem go odpisać w biurze, zażądałem audjencji u cesarza i przedstawiłem mu do wyboru obydwa. Cesarz bez namysłu roztrzygnął za manifestem moim, o czem zamierzałem zawiadomić Berchtolda, ażeby swój wniosek oficjalny zastosował do tego. Ale stało się cokolwiek inaczej. W tym samym czasie powstała myśl urządzenia w Kielcach rządu wojskowo-cywilnego pod kierownictwem gen. Colarda, z dodaniem mu b. namiestnika Bobrzyńskiego jako cywilnego komisarza. Na drugi dzień po mojej audjencji odbyła się u Berchtolda konferencja z udziałem hr. Stuergkha, bar. Buriana, p. Bobrzyńskiego i moim. Gospodarz przyjął nas oświadczeniem, że właśnie wezwał go do siebie cesarz; prosił więc, byśmy pod jego nieobecność radzili aż do jego powrotu. Omówiliśmy wszelakie szczegóły stworzenia rządu kieleckiego, przyczem poruszono ewentualność wydania manifestu w chwili wejścia w życie tego rządu. Pod koniec narad przybył Berchtold z powrotem z Schönbrunnu i opowiadając nam o szczegółach audjencji, dodał, że kwestja manifestu nie potrzebuje być więcej omowiana, bo cesarz sam się do niego odezwał: „sprawa manifestu jest w porządku: minister skarbu odczytał mi dwa bruljony, a ja zadecydowałem za jego elaboratem". Trochę się przestraszyłem tem wykolejeniem konferencji; ale Berchtold nie czuł się dotknięty, a ja byłem szczęśliwy, że cesarz uznał ponownie moją kompetencję w sprawach polskich.

Opozycja Tiszy.

„Po zatwierdzeniu tekstu przez cesarza, manifest ipso facto otrzymał przyzwolenie Berchtolda i Stuergkha. P. Burian musiał go widocznie przedstawić do zatwierdzenia swemu szanownemu pryncypałowi Tiszie. I potrzeba było tylko przybycia tego pana „profesora" czy „cenzora" do Wiednia, ażeby votum nie tylko powyższych dwóch ministrów ale i samego cesarza upadło bez odwołania i bez miłosierdzia. Zebrała się „prywatna" konferencja w biurze hr. Berchtolda (nie w sali posiedzeń).

„W obecności gospodarza, Stuergkha, Buriana i mojej oświadczył Tisza, że się sprzeciwia manifestowi, ponieważ po jego ogłoszeniu nie mógłby „nigdy cesarz Austrii wznowić stosunków dyplomatycznych i osobistych z carem!!". Na dictum p. Tiszy ja odrzekłem, że dla nas jest decydujące, ażeby cesarz przyrzekł narodowi polskiemu rząd narodowy, odpowiedzialny przed sejmem. W odpowiedzi podał pan „profesor" w wątpliwość zwołanie sejmu polskiego. Ja z mej strony zarzuciłem: „Ależ pan jesteś Węgrem i wiesz przecież, że u Was Węgrów zawsze stoi na pierwszem miejscu sejm krajowy?!" „A tak", brzmiała „delikatna" odpowiedź, „ale to się dzieje w Węgrzech, a Polacy to nie Węgrzy?" Na takie dictum acerbum potrzeba chyba było rzucić Tiszie w twarz obelgę; wszelako w tej chwili drażliwej zabrał głos hr. Stuergkh (Berchtold się wogóle nie odezwał, w głębokiej przed Tiszą pokorze) i rzekł: „Kiedy więc rząd węgierski sprzeciwia się manifestowi cesarza, to możeby się zgodził, by pożądane dla Polaków orędzia ogłosiły obie armje w chwili wkroczenia do Warszawy?" Widząc, że manifest upadł, uważałem to wyjście, acz niedostateczne, za mniejsze zło, niż zupełny brak odezwy do narodu polskiego. Tacite więc je przyjęto, może w poczuciu znajomości układu dwóch armij, którego mocą Warszawa, wchodzac w koło interesów niemieckich, miała być zajęta przez armję niemiecką. Wprawdzie był taki układ dodatkowy, że na czele armji niemieckiej miał wkroczyć do Warszawy oddział ułanów legjonów polskich z chorągwią polską, ale nim przyszło do zajęcia Warszawy, upłynęło tyle miesięcy, że tymczasem obie strony zapomniały o układzie. Bo, o ile mi wiadomo, z jednej strony Niemcy nie dali Austrji dokładnie znać o prawdopodobnym dniu wkroczenia do Warszawy, z drugiej strony Austrjacy, trzymając jakiś czas oddział ułanów w pogotowiu, wysłali go właśnie w czasie zbliżania się Niemców do Warszawy na inny teren walki.

Sancta simplicitas!

„Tak więc, umyślnie czy przypadkowo, nie wykonano nawet wniosku pośredniczącego hr. Stuergkha, i państwa centralne zajęły stolicę Polski bez słowa istotnie politycznego. Bo t. zw. „manifesty" obu armij w początkach wojny, o których już wspomniałem wyżej, były chyba żartem politycznym, zgodnym zupełnie z oczekiwaniami armij a i rządów, że lud polski w chwili wejścia tych armij chwyci za broń przeciw ciemięzcy: za broń, której Austrja nie miała dość nawet dla armji własnej, a wcale dla legjonów, cóż dopiero dla ludu, zachęconego zapewne do powstania zbombardowaniem przez Niemców Kalisza! A na Ballplatzu wiedeńskim na serjo usłuchano czyjejś bajki o widokach powstania w Polsce i odczuto gorzkie rozczarowanie z tak „nielojalnego" zachowania się ludu polskiego. I znowu sancta simplicitas!... Taki był koniec manifestu, którego potrzebę i znaczenie rozumiał w całem tem godnem towarzystwie jedyny cesarz Franciszek Józef".

Biblioteka Wojewódzka
Nr 3

Awangardzistom utarcie nosa

Zamieszczony w nr. 5 „Wiadomości Literackich" artykuł mój p. t. „Likwidacja futuryzmu" mógł był właściwie nosić także tytuł „Autolikwidacja futuryzmu" — faktycznie bowiem pp. futuryści z godnością indyjskiej wdowy urządzili sobie w „Zwrotnicy" swój własny stos ofiarny. Ale choć lubią się likwidować sami, nie lubią, gdy kto bierze to na serjo, zaraz w pasję wpadają, i żądają dalszych ofiar. Taką ofiarą miałem ja zostać. Wydali ulotkę p. t. „Awangarda", której pierwszym i głównym czynem ma być zemsta na Irzykowskim. I obeszli się ze mną tak, jakby chcieli mnie utwierdzić w opinji, że są kliką polityczną. To bowiem są środki używane w walce wyborczej. Napaskudzili mi na moją całą przeszłość i przyszłość, wywołali nieboszczyka Brzozowskiego z grobu na świadectwo przeciw mnie (dobrze, że nie zajrzeli do niego pilniej), wypomnieli mi i „pałubiczność" i merytoryzm i Hebbla i rozprawę o perfidji i kino i szachy i psychologję i zgwałcenie mojej babki, splatając z tego wszystkiego wieniec pokrzywny. Przypomniał mi się czas, kiedy najgorsza hołota intelektualna m. Lwowa drwiła z mojej „Pałuby" już za sam tytuł, kiedy pisano w ówczesnych „Awangardach" np.: „gdzie ksiądz, gdzie mosiądz, a gdzie „Pałuba" p. Irzykowskiego?" lub „Irzykowski wydał książkę pod tytułem — risum teneatis amici! — „Pałuba"! Do tej kolekcji okazów fauny literackiej godnie przybywa nr. 1 futurystycznej „Awangardy".

Ten szał sztubakierji, w który wpadła „Awangarda", atakując mnie, tłumaczy się chyba żądzą popularności u rzeźników, alfonsów i prostytutek, którzy — według oświadczenia redaktorów „Awangardy" — są najlepszymi jej przyjaciółmi, — jak również tem, że pp. futuryści — że się tak futurystycznie wyrażę — każdy bryzg swego błota na mojej piersi uważają za order na swojej piersi. Nie zamierzam załatwiać się tutaj po kolei z ich bryzgami, bo choć lubię grać w szachy, męczy mnie gra z partaczami, którym można dać królowę i wieżę for i którym trzeba w dodatku suflować niekiedy posunięcia, aby mieć jaką taką satysfakcję. Jeżeli pp. futuryści zechcą, mogę na miejscu neutralnem w osobistem zetknięciu wykazać im prymitywność tego wszystkiego, co w ich artykule nie jest sztubackiem przedrzeźnianiem, lecz zakrawa na argumentację. Czytelnik musiałby mieć przed oczami jeden i drugi i trzeci artykuł, aby ocenić, kto ma ostatecznie słuszność. Ograniczę się do jednego przykładu.

Kipiąc zemstą za zarzut małpiarstwa, futurysta radby mi odpłacić wet za wet i wyszukał sobie takie zestawienie: Irzykowski powiada:

„Główna oryginalność myślicielstwa leży i leżała zawsze w pytaniach, nie w odpowiedziach". Zasłyszał to od Ibsena, który powiedział: „Pytania stawiam, nie rozwiązuję". Panie St. G., jeżeli Pan naprawdę nie widzi, że w obu tych zdaniach tkwi zupełnie inna myśl, to nie odróżnia Pan „węgla kamiennego" od „kamienia węgielnego", to wogóle nie ma Pan żadnego słuchu wobec myśli, nie odróżnia Pan jednego akordu od drugiego, to daj Pan spokój literaturze, to nie pisz i nie przysyłaj mi Pan żadnych „Przemian", bo żadne aforyzmy ani autoanalizy Pańskie mi nie zaimponują, jeżeli Pan w sprawie zupełnie ewidentnej robi takiego kiksa. — Następnie ten sam futurysta stawia pytanie, które sam nazywa „zgoła oryginalnem": „Czy I. nigdy nie zrozumie, że pytania stawia rzeczywistość, że nikt ich nie „wymyśla" z głowy...?" Jestem istotnie zaskoczony i zmiażdżony tem postawieniem sprawy, jestem „zdemaskowany", jako niepoprawny „intelektualista", nie dojechał mi pod tym względem ani Brzozowski, ani Feldman, ani Szyjkowski, tylko dopiero ten oto młodzieniec. Ale panie St. G., który mi wytykasz „logikulstwo", czy to nie jest przypadkiem zupełnie formalistyczna i jałowa alternatywa (rzeczywistość czy głowa), albo czy nie webrniemy tu całkiem niepotrzebnie na wertepy filozoficzne, przyczem ostrzegam Pana, że Pan jako futurysta powinien stać raczej po stronie ducha ludzkiego, którego ja noszę w głowie, a Pan może gdzieindziej.

Ale utwierdzam się coraz bardziej w przekonaniu, że cała ta grupa to pasorzyci obcego futuryzmu, zakuci beznadziejnie w swojem żakostwie i zaściankowości. Oto zdradliwy dowód, mający szersze znaczenie. Zarzuca mi p. St. G., że w ciągu kilkunastu lat nie zdążyłem wyjawić swego credo jako krytyk, zarzuca mi, że nie rozporządzam „żadną określoną, umotywowaną metodą, metodologją krytyczną". Czy to mówi futurysta, wróg szablonów i metod, antycypujący w głębiach swojej liberalnej duszy sto nowych możliwości dla krytyki, czy jakiś tępy uczniak z seminarjum polonistycznego (nie wiem nic o osobistości p. St. G.), który żąda, aby krytyk wyrabiał swoje wyroby tylko według programu zgłoszonego w urzędzie patentowym, żeby tym programem wciąż pobrzękiwał... Me-to-da, me-to-da! — to słówko magiczne wymawia p. St. G., oblizując się po niem od ucha do ucha. Z przodu futurysta, a z tyłu metodysta...

A czemuż to właśnie mnie wytykacie brak własnej metody, czemu nie Makuszyńskiemu, Lorentowiczowi, Zagórskiemu? I co Was obchodzi moja metoda lub nie-metoda? Jeżeli ją mam, to jest ona dla mnie; baczcie, czy to, co piszę, jest prawdziwe i mocne, a nie — czy ma metodę.

Lecz naiwność zakrawa już na arogancję, gdy zważyć, że takie zarzuty stawiają mi ludzie, którzy wcale moich książek ani rozpraw nie czytali, którzy znają mnie tylko z plotki, z legendy, bezkrytycznie powtarzanej, którzy tylko bezmyślnie po żakowsku pokrzykują: „Hebbel! merytoryzm — zyg, zyg! perfidja! pałubiczny—zyg, zyg!"—pokazując przez to, że nie tylko owych moich książek lub rozpraw nie zrozumieli, ale nawet ich nie czytali. Od nikogo nie żądam, by czytał moje książki, może są nudne, złe i niepotrzebne, — lecz jeżeli kto traktuje per non est to, co jest, jeżeli z pełni swej ignorancji co do mnie wydaje wyroki, powołujące się nie na intuicję, któraby z okrucha moich słów domyślała się całej mojej duszy, lecz powołujące się na kompletną znajomość mojego dorobku literackiego, to tego już za dużo.

Wytykają mi, że zapowiadane książki moje nie pokazują się. Oryginalny zarzut — jak na futurystę. Czy futurysta nie potrafi zrozumieć, że można obiecać, a nie dotrzymać? Przecież w samej obietnicy może leżeć pewna wartość. A taki futurysta pokazuje mi weksel. Zresztą pamiętajcie Panowie, że oprócz autorów są jeszcze—wydawcy. Zapytajcie w „Ignisie", ile książek mi odrzucono. Wytykają mi nawet tytuł mojej książki o kinie, bo cytują go z wykrzyknikiem: „Istota (!) kina". Ja sam takiego tytułu nigdy do wiadomości publicznej nie podawałem, sprzeciwia on się moim nominalistycznym upodobaniom. Lecz gdyby nawet — i taki był, — co ma znaczyć ten głupkowaty wykrzyknik? Czy to ma znaczyć, że mnie nie wolno porywać się na pisanie o istocie kina, że to jest zarezerwowane dla umysłów wyższych ode mnie, dla jakiegoś mesjasza kinowego, może zagranicznego? Ale przecież tytuł taki nie znaczyłby jeszcze: odkrycie istoty kina,—lecz tyle co: docieranie do istoty kina,—lub: co ja mam do powiedzenia o istocie kina? Książki pod tym tytułem za granicą wychodzą, nikt w tym tytule zarozumiałości nie widzi, każdemu wolno pisać swoją istotę kina, — i tylko żaczek, tylko taka natrętna osa może się do tego przyczepić.

Na końcu grożą mi futuryści, że ośmielą się „sprawdzać dokumenty samozwańczego cenzora". Niczego bardziej nie pragnę. A co do samozwaństwa — czy Wy „futuryści" nie wiecie, że wszystko w literaturze jest i musi być samozwańcze? Ja też futurystom polskim nie wytykam tego, że chcą być futurystami bez koncesji, tylko, że nie są nimi naprawdę, że pod tym szyldem kryje się stare, zaściankowe, metodyczne głupstwo, mielące w odwrotną stronę jeszcze raz to, co było mielone już przez lat dwadzieścia.

Karol Irzykowski.

Pirandello o Bernardzie Shaw

W „New-York Times" Pirandello tak charakteryzuje nową sztukę Bernarda Shaw p. t. „Święta Joanna", która zyskała w Ameryce ogromne powodzenie:

Od pewnego czasu Shaw staje się coraz poważniejszy. Wierzył on zawsze w siebie, i to słusznie. Ale w wielu sztukach nie bardzo wierzył — zdaje się — w to, co czynił. O to przynajmniej można go podejrzewać, — ponieważ nie można zaprzeczyć, że w gwałtownej obronie swego właściwego intelektualnego stanowiska przeciwko t. zw. „moralności mieszczańskiej" często rezygnował z wszelkiej pretensji do powagi, jako artysta. Teraz, jednakże, zdaje się, wierzy mniej w siebie, a więcej w to, co czyni. Z epilogu dramatu p. t. „Święta Joanna" możemy jasno dostrzec przyczynę, dla której Shaw go napisał. Świat ten—zdaje się mówić—nie nadaje się do tego, aby w nim żyli święci. Musimy wziąć ludzi w nim żyjących takimi, jakimi są, ponieważ nie jest im zezwolone być innymi.

Faktycznie, wnikając uważnie i głęboko w ten utwór Shawa, wzięty jako całość, musimy wykryć w nim tę dziwną pół-humorystyczną melancholję, która jest właściwa rozczarowanemu idealiście. Shaw posiadał zawsze za silne poczucie rzeczywistości, aby nie zdawać sobie sprawy z konfliktu zachodzącego między niem a jego społecznemi i moralnemi ideałami. Rozliczne fazy rzeczywistości, takie jakiemi były wczoraj, jakiemi są dzisiaj i będą jutro, występują w osobach przedstawiających je przed idealną zjawą Joanny. Każdy z tych typów usprawiedliwia swój sposób bycia i spowiada się ze swych grzechów, ale w taki sposób, żeby wykazać, że nie jest rzeczywiście w możności poprawić swego życia, — tak prawdziwą jest rzeczą, że każdy z nich jest dzisiaj taki, jaki był wczoraj, i będzie jutro taki, jaki jest dzisiaj. Joanna przysłuchuje się im wszystkim, ale się nie oburza. Ma dla nich conajmniej pewną tolerancyjną litość. Może się jedynie modlić, by świat w przyszłości był na tyle piękny, by stać się godną siedzibą dla świętych.

Ta nowa tolerancja i litość powstają z najbardziej utajonych głębin poezji, jakie istnieją u Shawa. Ile razy zamiast tolerowania, zamiast litowania się, traci cierpliwość z powodu zderzenia się rzeczywistości z jego ideałami, wtedy ze strachu, że zdradzi swój gniew, zaczyna męczyć siebie i swych słuchaczy omamiającą błyskotliwością swych paradoksów. Shaw jako artysta ucierpi mniej lub więcej poważnie, spada do poziomu „jeu d'esprit", co jest samo przez się zabawne, choć psuje dzieło sztuki.

W żadnym z utworów Shawa, które sobie przypominam, względy artystyczne nie zostały tak wzięte pod uwagę, jak w „Świętej Joannie". Shaw nazywa tą sztukę kroniką. I rzeczywiście, dramat jest zbudowany epizod po epizodzie, moment za momentem, a niektóre z tych epizodów i momentów są ściśle jednostkowe i wolne od znaczenia ogólnego — prawdziwie w stylu kronikarskim, choć zazwyczaj mają tendencję do tego, co nazywam rozmyślną „konstrukcyjnością". Ale pomiędzy niemi są rozsiane momenty ironiczne i satyryczne, gdzie ofiarami są kościół lub Anglicy.

Jednak próba przedstawienia tego, co jest rzeczywiście historją, nie wydaje mi się tak szczęśliwą, jak w „Cezarze i Kleopatrze?" „W Świętej Joannie" historja, a raczej charakterystyka historycznie pojęta, zbytnio ciąży na żywej objektywności kroniki, i z wypadków sztuki ulatuje to coś nieoczekiwanego, co jest tchnieniem prawdziwego życia. Wiemy zgóry, jaki będzie wynik.

Charaktery, czy to historyczne, czy typowe, niezupełnie wyzwalają się z określoności, narzuconej im przez historję, i z roli, którą mają w dziejach odegrać. Sama Joanna, przedstawiona jako istota świeża, urodzona wśród pól, pełna płomiennej wiary i ufności w siebie, pozostaje taka od początku do końca sztuki i może zbyt widocznie podkreśla swój zamiar niewyrecytowania własnej historycznej roli i chęć pozostania tem mitem, szczerem, niewinnem, natchnionem dzieckiem, którem jest. I rzeczywiście Joanna taka jaka była naprawdę w swej małej historji indywidualnej najprawdopodobniej bardzo odpowiadała temu, co sobie Shaw o niej wyobrażał. Ale Shaw, zdaje się, spojrzał na nią jak gdyby raz jeden tylko i że tak powiem raz na zawsze, zupełnie bez uwzględnienia różnych sytuacyj, w których zetknie się z życiem w dalszym przebiegu swych dziejów. Innemi słowy, jest w jej charakterze coś mechanicznego, zgóry wyznaczonego, stałego. Daleko bardziej swobodny i nieograniczający się w swych naturalnych impulsach i bardziej niezależny od rozmyślnej powściągliwości, wobec tego—o wiele bardziej „żywy", jest kapelan de Stogumber, prawdziwie cudowna kreacja w tym dramacie i postać, której Shaw poświęcił napewno dużo przywiązania i wysiłku.

W pewnym momencie zachwiana jest wiara Joanny w jej „głosy". Drobne, miłe stworzenie, dotychczas niezłomnie wierzące w boskie natchnienie, które tyle razy zbawiało ją od śmierci w bitwach, jest nagle zdjęte przerażeniem na myśl o męczarniach, które ją oczekują. Dowiadując się od swoich sędziów, że wyrok śmierci ma być zamieniony na wyrok dożywotniego więzienia, porywa dokument i z nagłym wybuchem drze go na kawałki. „Śmierć jest daleko lepsza od tego" woła. Nie mogłaby żyć bez szerokiego oddechu pól, piękności zielonych łąk, ciepłego światła słońca. Pada zemdlona w ramiona swych oprawców, którzy wloką ją na stos.

W tym momencie Shaw prowadzi swych bohaterów na szczyty szlachetnej poezji, którą zadowoliliby się inni autorzy, i z pewnością po tej scenie kurtynaby opadła. Shaw jednak nie może się oprzeć naporowi, i tchnienie życia, tak dobrze mu znanego, musi w tych warunkach wcielić się w drugą jego postać — kapelana. Zdąża zatem do innego szczytu, poezji, niemniej szlachetnego, odmalowując z wspaniałym rozmachem szalone wyrzuty, beznadziejną pokutę Stogumbera, dodając tem do naszego pierwszego wstrząsu drugi, nie mniej potężny i przejmujący. Rzadko kiedy Shaw dosięgnął takich wyżyn poetycznego wzruszenia, jak tutaj. Shaw jest prawdziwie wielki poeta. Ale ten wojowniczy Anglo-Irlandczyk często jest skłonny zapominać, że jest poetą. Zanadto interesuje go to, że jest obywatelem swego kraju lub człowiekiem XX w. z szeregiem poważnych idej do obrony, z szeregiem kazań do wygłoszenia i z szeregiem antagonistów do zwalczania na polach walk intelektualnych. Ale tutaj, w „Świętej Joannie", poeta znów przychodzi do głosu, zostawiając jedynie podrzędną rolę satyrze i ironji. Z całą jednak pewnością „Święta Joanna" ma cały posmak i cały wdzięk dowcipnych, polemicznych dialogów Shawa. Mimo wszystkich zaciekłych i ostrych pchnięć na prawo i lewo w zwykłym Shawowskim stylu propagandystycznym, „Święta Joanna" jest utworem poezji od początku do końca.

Sztuka ta pokazuje w cudowny sposób to, co między tyloma elementami negacji jest pozytywnym elementem, zaiste fundamentem charakteru, myśli i sztuki wielkiego pisarza,—wyraźny purytanizm, który nie dopuszcza żadnych półśrodków i żadnych kompromisów między człowiekiem a Bogiem. Joanna — w gruncie rzeczy bezwiednie i uważając siebie za wierną córkę kościoła — jest purytanką, jak sam Shaw,—potwierdzając swój instynkt życiowy, swą niezachwianą, nawet tyrańską, chęć do życia przez przyjęcie śmierci. Jak Shaw, nie może ona istnieć bez życia wolnego i owocnego. W chwili darcia wyroku wobec swych głuchych i ślepych oprawców, ujawnia zasadniczy pierwiastek sztuki Shawa, który jest również pierwiastkiem jego życia duchowego.

Monografja o Renoirze

W wydawnictwie „Cahiers d'Aujourd'hui", publikującem sztukę impresjonistów i postimpresjonistów francuskich, ukazała się w dopełnionem wydaniu świetna, bogato ilustrowana monografja Alberta André, poświęcona twórczości zmarłego w r. 1919 Augusta Renoira. André, należąc do najbliższego otoczenia wielkiego impresjonisty w ostatnich latach jego życia, znał Renoira dokładnie nie tylko jako artystę, ale i jako człowieka; był on powiernikiem myśli mistrza, myśli, obracających się niemal wyłącznie w dziedzinie sztuki. Dzięki tej intymności posiada monografja Alberta André szczególne znaczenie; dzięki niej staje przed nami w całej swej, iście łacińskiej, pogodzie duchowej, jedna z najpiękniejszych postaci tak niedawnej, a już tak całkowicie minionej epoki artystycznej.

Szybko bowiem i gruntownie zmienia się oblicze współczesnego życia, a z niem wraz przemijają i zmieniają się kierunki artystyczne.

Jakże niedawno był jeszcze impresjonizm walką i rewolucją, i jakże niedaleki jest od nas ten r. 1900, kiedy oficjalnym augurom sztuki francuskiej udało się po raz ostatni nie dopuścić na wystawę międzynarodową owej—według mocnego wyrażenia Gérome'a—hańby narodu francuskiego.

Dzisiaj impresjonizm, — zapisana do końca w dziejach sztuki karta, epoka artystyczna zakończona i zamknięta, — oczekuje chwili rychłego już może odrodzenia, kiedy przyszli obalacze starych bogów, dokonywając nowego przewartościowywania wartości, w walce swej oprą się na tej „tradycji artystycznej przodków", tak jak my w walce z impresjonizmem opieraliśmy się na tradycjach klasycyzmu i Ingres'a.

Rewolucja, której dokonał impresjonizm, rozpoczęła się pod prostem i przekonywającem hasłem powrotu do życia i natury. W przeciwieństwie do uznanych podówczas urzędowo, acz nieprawych, spadkobierców Davida i Ingres'a, którzy swe szczupłe wiadomości o wyglądzie plastycznym świata czerpali przeważnie z dzieł t. zw. starych mistrzów,—impresjoniści odważyli się patrzeć na naturę okiem własnem i nieuprzedzonem; co więcej, mieli śmiałość twierdzić, że ci właśnie starzy mistrze, tylekroć im za przykład podawani, zanim stali się starymi mistrzami, studjowali również raczej naturę niż stare obrazy; — że wreszcie powietrze nie ma bynajmniej brunatnej barwy pożółkłych werniksów na pięćsetletnich obrazach w Louvrze, oraz — że człowiek normalny w życiu powszedniem rzadko przybiera pozy posągów Praksytelesa.

Było w tej pogardzie, w tej nienawiści dla tradycji, o wiele zresztą więcej wyzwania i fanfaronady, niż się to napozór zdawało zarówno stronnikom jak i przeciwnikom nowej sztuki. Najprawowierniejsi nawet z pośród impresjonistów — Monet, Sisley, Pissarro — nie zapomnieli przez życie całe ani o sztuce angielskiej Turnera i Bonningtona, ani o drzeworytach japońskich, ani nawet o pejzażystach holenderskich. Manet „modernizował" nie tylko Goyę i Valazqueza, ale nawet mistrzów odrodzenia, tych prawdziwych „starych mistrzów"; słynne np. „Śniadanie na trawie", które tak szalenie oburzyło ówczesnych znawców sztuki bezwstydnem zestawieniem nagich kobiet z ubranymi mężczyznami, było najdokładniejszem powtórzeniem kompozycji Marcantonia Raimondiego (1486 — 1530). Degas ze zdumiewającą dokładnością kopjował Holbeina, a Cézanne wyznawał nawet otwarcie, że zadaniem sztuki współczesnej jest „przerobić Poussina z natury".

To właśnie przerabianie starych mistrzów na podstawie nowczesnego odczucia natury, to połączenie tradycji ze współczesnością, — było jednem z głównych zagadnień sztuki Renoira.

Podobnie jak Manet, a po części również Cézanne, zaczął Renoir od zachwytu nad tym, którego w ojczyźnie nazwano „malarzem prawdy": od Velazqueza.

Portrety Renoira z pierwszego okresu jego twórczości są w ścisłem słowa znaczeniu modernizowaniem portretu Velazqueza: ta sama dyskrecja i prostota środków, to samo zupełne prawie pominięcie światłocienia i malowanie w pełnem świetle; ten sam sposób wydobywania charakterystyki za pomocą kilku zdecydowanych plam barwnych: stroju, twarzy, oczu i ust, — z pominięciem pozornem szczegółów rysunkowych. To samo wreszcie mistrzostwo w otaczaniu postaci przejrzystą mgiełką powietrzną; Velazquez, jako syn pełnej stylu epoki i ojczyzny, oczywiście pilniej daleko szuka sylwety stylistycznej swych królewskich modeli, dochodząc w tej stylizacji do hieratycznej prawie sztywności; Renoir natomiast, jako prawy impresjonista, akcentuje silniej stronę realistyczną, zwłaszcza tak drogie jego pokoleniu studjum powietrza i refleksu. Pod tym względem dochodzą portrety Renoira do ostatecznego, zdaje się, kresu możliwości artystycznych. Mgiełki powietrzne, tulące się w fałdach atłasowych sukien damskich, migotanie refleksów na lśniącej powierzchni materjału, należą do najświetniejszych realizacyj, na jakie zdobyła się sztuka; słynne atłasy Renoira są, być może, ostatniem słowem, jakie w tej dziedzinie wypowiedziane zostało od czasu Terborcha i Metsu.

Zmiany, którym ulega t. zw. barwa lokalna pod wpływem refleksów barwnych otoczenia oraz powietrza, stanowią szczególny przedmiot zaciekawień Renoira, a studja jego w tej dziedzinie są najwyższym wysiłkiem woli artystycznej, na jakie zdobyła się sztuka nawet w owej, nie cofającej się przed żadnym wysiłkiem, epoce. Z niepojętą pasją piętrzy tu artysta nieprzezwyciężone niemal trudności; maluje chętnie postaci ludzkie w ruchu pod gęstwą listowia, przez którą sączy się blask słońca, gorącemi plamami ślizgając się po sukniach i twarzach obok chłodnych refleksów nieba i zieleni. Wszystko to razem omglone przejrzystym błękitem czarownie ciepłego, letniego powietrza. Najsłynniejsze ze studjów tych są „Huśtawka" i „Zabawa taneczna w ogrodzie", obok szeregu dzieł drobniejszych. A wszystkie te obrazy, poza najskrupulatniejszem studjum natury, tchną taką cudną i taką pogodną zmysłowością, że łatwo tłumaczymy sobie wiekopomne odkrycie Renoira: odkrycie sztuki francuskiej XVIII w., odkrycie Watteau i Fragonarda. I na tem właśnie polega znaczenie Renoira w historji sztuki: po przekleństwie rzuconem najprzód przez Rousseau i Diderota, następnie przez wielką rewolucję i Davida, na w. XVIII i jego sztukę, — cała ta dziedzina piękna przez sto lat bezmała znajdowała się pod klątwą. Nawet Delacroix, walcząc przeciw zimnej tyranji Davida i Ingres'a, nie śmiał przeciwstawić im lekkomyślnej sztuki ostatnich Ludwików, oparcia szukając raczej w Rubensowskim baroku; nawet Manet wolał zwrócić się ku Hiszpanji, niż ku wyklętej epoce swych ojczystych dziejów. Renoir był pierwszy, który odczuł cały wdzięk i czar tej lekkomyślnej napozór sztuki i jej olbrzymie zalety plastyczne. Odczuł on i przyswoił sobie jej zmysłowość, zastępując jednak jej arystokratyczne przerafinowanie trochę dziecinną, trochę chłopską — zdrową pogodą.

W ten sposób powstał nowy w sztuce typ piękności kobiecej o pełnych, dziecięcych nieco kształtach, o potężnych biodrach i krągłych piersiach, o naiwnie zmysłowym, a własnej zmysłowości nieświadomym, dziewczęcym uśmiechu; przyszła żona i matka raczej, niż kochanka. Ta właśnie strona sztuki Renoira największy może wpływ wywarła na dalszy rozwój sztuki. Z Renoira bezpośrednio wywodzi się typ kobiecy, poprzez Maillola i Denisa, a po części nawet i Gauguina—do dnia dzisiejszego dominujący w sztuce, a tak zdrowy i potężny, że jeżeli przyszłe wieki na tej podstawie sądzić będą nasze pokolenie, to będą je musiały uznać za jedno z najzdrowszych, jakie ludzkość wydała.

Taka jest sztuka Renoira: sztuka, łącząca przeszłość z teraźniejszością, tradycję ze współczesnem odczuciem świata; sztuka mocna, nie cofająca się przed żadną trudnością, sztuka słoneczna i zmysłowa,—sztuka, będąca jednym potężnym okrzykiem na cześć doczesności i życia.

Wacław Husarski.

JERZY BOHDAN RYCHLIŃSKI

Kok w hulku

2)

Feljeton „Wiadomości Literackich" z dn. 9 marca 1924 r.

Nakoniec znalazł się w kajucie i czem prędzej zapalił lampę, wiszącą u pułapu na pałąkach. Zapalił również lampę w kabinie. Podparł się łokciami na blacie krągłego stołu i wpatrzył w sedno wiszącej lampy. — Jaką przeszłość ma ta kajuta? — nagle bez widocznej przyczyny strzeliło mu do głowy.— Czem był ten hulk za korsarskich czasów? Może to „Czarna Mewa" pirata Haydena, tego, który porwał piękną Adelaidę van Reen? Dość naczytał się tych historyj w ulubionych kronikach swego ojczystego miasta Karlskrony. Pomimo zmęczenia oczy mu się nie kleiły. Opanowało go wewnętrzne drżenie. W kończynach ciężyła mu ołowiana niemoc, wsysana do organizmu coraz głębiej, z każdem uderzeniem serca. — Czyżby to ta sama dwumasztowa „Czarna Mewa", którą zdobył dzielny bryg „Lwie Serce". Aha! wyrwano trupa Adelaidy z ramion Haydena, który zawisł na reji wielkiego masztu. Szkoda, że dziennik okrętowy tej rudery zaginął. Ciekawych rzeczy możnaby było się dowiedzieć. Phi, ładnie na reji musiał dyndać trup Haydena. Obejrzał się zabobonnie. Światła lamp żółkły mu w oczach w sposób zastraszający. Ze słomkowych stawały się mosiężne, złote, pomarańczowe, — poto, by za chwilę znów zblaknąć na kolor cytryny lub białej słomki. Jakieś wielkie sieci pajęcze rozsnuwały się gdziekolwiek spojrzał, przesłaniając mu pole widzenia, póki ich nie rozdarł zaiste wściekłym wysiłkiem woli. Mgła niewidoczna a subtelna zdawała się wydzielać, wirować w mroku, skręcać, kształtować w mary. Jednocześnie doznawał wrażenia, że błękitne ogniki polatują dokoła i patrzą nań, albo, że ktoś za nim stoi. Skóra mu ścierpła, gdy raz wydało mu się, iż łokciem czyjąś postać za sobą wyczuwa. Uchem łowił szmery, tchnienia, westchnienia i chroboty. Doprawdy, kadłub starego hulku po luki wypełniony był wrącem piekłem śmiertelnego strachu. Nic! Oka tej nocy nie zmrużył. Dopiero blady świt, zaglądając przez iluminatory, odwalił mu z serca strach, niby kamień grobowy. Z westchnieniem ulgi zasnął u stołu. Nerwy!

Następnego wieczoru postanowił wziąć antidotum na nerwy. Spędził parę godzin w „Excelsiorze" w towarzystwie dam bardzo wesoło. Miał w czubie sporo dymiącego grogu, gdy Snitko odwoził go na hulk.— „A odwiedź mnie pan jutro rano"— rzucił Borysowi na pożegnanie.

Cisza, wiejąca z wnętrza, nie zatrwożyła go tym razem. Słysząc chrapanie koka, wziął je z zabawnej strony:—jak miech kowalski sapie! Chwiejnym krokiem zeszedł po trzeszczącej schodni. Skrzyp schodów nie zbudził gdzieś w zakamarkach jego duszy przydźwięku trwogi. Po paru próbach udało mu się zapalić w kajucie lampę na pałąkach. Zauważył, że nafty w niej ledwie na godzinę starczy, zauważył automatycznie, jak rzecz faktu, i wcale się tem nie przejął.

Ze snu tej nocy Griff właściwie pamiętał tylko trzy stany uczuciowe: upojenia, zmory i ohydy. Oglądane we śnie obrazy mogły być równie dobrze grą wyobraźni. Inna rzecz, że Adelaidy van Reen nigdy w życiu Griff nie mógł zapomnieć. Ujęcie jej małej rączki, może nadto śliskiej, tak było rozkoszne i aksamitne, że rozbudzić go musiało dreszczem. Griff wątpił w cielesne rozbudzenie. Raczej uważał je za ocknienie do innego życia. Usłyszał wówczas tupot nóg na pokładzie, dzikie przekleństwa, chrobot bloków, trzaski żagielnych płacht, podjudzające krzyki w niezrozumiałym języku. Żegluje! Kajuta wydała się nagle powołana do ruchu, rozkołysana i rozwidniona. W takt rozkołychów tańczyły na ścianach niedzisiejsze przedmioty. Wogóle nie miał czasu tego wszystkiego zauważyć. Musiał je objąć w oka mgnieniu, z wewnętrznego przejrzenia, — gdyż całą jego uwagę pochłonęła kobieta. Rysy miała, jak z alabastru. Jasne włosy spływały jej z pod jedwabistej gazy, okalającej twarz owalną; oczy wielkie, pełne nieprzytomnej trwogi. Paliły się niebieskawym, ognikowym blaskiem. Tchu zbrakło mu w piersiach. Przywarła do niego i dźwięcznym, niewyraźnym, rzekłbyś — zduszonym — głosem szeptała: „Ratuj mnie, ratuj!"

Drgnęli, jakby jednym prądem targnięci. Po schodach rozdzierająco zatrzeszczały ciężkie, kamienne kroki. W nogach poczuł ołów. Włosy zjeżyły mu się na głowie elektrycznie. Targnęła go za rękę. Na ścianie nad koją wisiał ciężki miecz obosieczny. Nie pomyślał nawet, że go przedtem tam nie było. Sprężył się wewnętrznie, jakby oderwał od łoża, chwycił za miecz, zamachnął. W drzwiach ukazała się twarz zwierzęca, ruda, ognista głowa, wielki nos nad płowemi, okrutnemi wąsami. Ciął, aż zawarczało w powietrzu. Straszny krzyk targnął wnętrzem hulku, twarz oblała się czemś lepkiem, gęstem, czarnem, znikła. Z ciemności doszło rzężenie, świst, rechot...

Miecz wypadł mu z ręki bez brzęku. Kobieta zachwiała się. Porwał ją w ramiona. Uniósł. Przycisnął wargi do jej warg, jakby chciał tchnąć w nie życie. Usta te w oka mgnieniu chłodły, zamierały, rozpływały się. Piersi jej wklęsły, zapadły się pod jego piersią. Ciało w dotyku stało się wężowe, żabie, oślizgłe... W uścisku pod gąbczastą masą zatrzeszczały spróchniałe gnaty. Buchnęło nań fosforem, strasznym zaduchem rozkładu. Uczuł, że mu się w głowie kręci, że mu mdło, duszno... Wstręt niewysłowiony, ohyda, obrzydliwość...

Rano przybył Snitko. Zastał wszystko jak za pierwszym razem, tylko w zamkniętym kambuzie Amadou już nie żył. W klubie Snitko był bohaterem dnia. — Brednie! Panowie wierzycie w medja! Griff wymyślił tę bajeczkę — perorował bohater. — Chciałbym tylko wiedzieć, co ten biedak Amadou zawinił tym... tym mordercom.

KONIEC

Nowe powieści

Andrzej Strug. Kronika Świeciechowska. Okładkę rysował **Tadeusz Gronowski.** Warszawa, Towarzystwo Wydawnicze „Ignis" (E. Wende i S-ka) Sp. Akc., 1924; str. 246 i 2nl.

Książka Struga stanowi olbrzymi, zdumiewający odskok od metod naszej literatury powieściowej. Odskocznią posłużyła Strugowi — anegdota, skomplikowana koncepcja anegdotyczna, element powieściowy zupełnie niemal obcy polskiej literaturze. Książka ta jest zbyt poważnym wypadkiem, aby można się było zgodzić na jej zdawkową, łaskawą ocenę.

Oddawna już brak polskiemu czytelnikowi pokarmu dla wyobraźni. Rodzaj ekspresji, który odróżnia polską literaturę od innych literatur europejskich, opiera się przedewszystkiem na przewadze uczuciowości, tej najbezpośredniejszej formie artystycznego wypowiedzenia się. Ale oddany na pastwę orłowi emocji, rozdzierającemu mu wątrobę, siedlisko wzruszeń, — czytelnik pozbawiony jest całkowicie intelektualnej, esprycjonalnej gimnastyki. I sądzę, że temu brakowi właśnie zawdzięczamy pewną szczególną gnuśność, rozleniwienie estetyczne polskiego społeczeństwa. Przyzwyczajone do odruchów czysto uczuciowych, reagujące na każdy objaw sztuki (i nie tylko sztuki) zupełnie instynktownym, fizjologicznym niemal odruchem sentymentu,—przyjmuje ono opornie i wrogo wszelką nową formę twórczości artystycznej, wymagającej odeń wysiłku umysłowego. Romantyczne wyznanie wiary „miej serce i patrzaj w serce!" zostało tu przyjęte bardziej wyłącznie, bardziej dosłownie, niźli je brał sam romantyzm. Stało się ono jedną ze „złotych myśli" z pensjonarskiego albumu społeczeństwa i literatury polskiej, — broniącą do niej dostępu — myśli.

W tem właśnie wyłącznem uprawianiu gleby uczuciowej przez polską literaturę należy widzieć główny powód niewątpliwej prowincjonalnej sekciarskości poglądów estetycznych sztuki polskiej i tajemnicę skandalicznego, stałego od lat kilkudziesięciu, opóźniania się naszej kultury w stosunku do kultury Zachodu. Tylko uświadomienie sobie, głębokie przetrawienie i wyciągnięcie z tego konsekwencyj może przyśpieszyć jej ospały pochód.

Bezwątpienia, intelektualizm powieściowy musiał być znany naszej literaturze mającej przed oczami bogatą, tryskającą rokiem intelektualistycznych koncepcyj, literaturę Francji, Anglji i Niemiec. Czyniono i czyni się u nas starania w celu przerwania emocjonalnej monotonji naszej literatury, lecz mechanizm intelektualistyczny wyobraźni twórczej wymaga przygotowania i ciągłej wytężonej pracy,—w przeciwnym razie sprężyny jego rdzewieją. Mózg artysty zawsze jest potroszę akrobatą. Twórczość intelektualistyczna ma w sobie coś z karkołomnych, napowietrznych produkcyj. I akrobata — mózg, pozbawiony treningu, nie mówiąc już o uprzedniem wyszkoleniu , — nie może posiadać tej elastyczności, która stanowi jego całą istotę. Czegoż nie czyniono u nas, aby pochwycić zasadę świeżej anegdoty, nowego, odrębnego tematu, — nie tylko w powieści, ale i w poezji, w teatrze? W pogoni za nim przerzucił Żuławski swych bohaterów na „srebrny glob", Słonimski cofnął ich do epoki napoleońskiej, a Grabiński pogrążył się w ezoterycznej erotyce i Bóg wie w czem. Tak szukano i szuka się w polskiej literaturze skarbów anegdoty, bądź uciekając się do pomocy techniki współczesnej à la Wells i dokonywując cudów na jej rachunek, bądź też zatapiając się w całkowicie fantastycznej rzeczywistości.

Jakie potwornie naiwne wysiłki! Nieprzygotowany, niewyćwiczony intelekt polskiego literata nie jest w stanie utrzymać się na nagiej trampolinie myślowych koncepcyj i ponosi smutną klęskę w grze swej wyobraźni. Nie można także powinszować tym autorom wzorów. Wybór ich padł, ze zrozumiałych względów, na wzory anegdoty powieściowej, wynikającej z układu ściśle zewnętrznych warunków, lub z warunków fantastycznej, za włosy przyciągniętej, rzeczywistości.

Lecz prawdziwa wielkość koncepcji anegdotycznej opiera się przedewszystkiem właśnie na absolutnej realistyce jej elementów przy ich całkowitej samowystarczalności. Spreparowanie nowej koncepcji anegdotycznej drogą wprowadzenia fantastycznych pierwiastków obniża jej wartość, przekształca sztukę w sztuczkę. Nowa koncepcja anegdotyczna może i powinna się oprzeć jedynie na nowej zasadzie psychologji powieściowej, nie na układzie zewnętrznych akcesorjów. Jedynie i wyłącznie przetworzenie psychiki ludzkiej, nowe ustosunkowanie cech psychicznych i emocji daje podstawę nowoczesnej anegdocie powieściowej. Ustosunkowanie to polega nie na akademickiej analizie psychologicznej, lecz jest przekreśleniem w literaturze metod doświadczalnych psychologji i traktuje ją jedynie jako dowolnie skostruowany fundament dla anegdoty powieściowej. Wewnętrzne, formalne zagadnienie jednolitości i celowości tej psychologicznej konstrukcji jest tu całkowicie obce zagadnieniu prawdy psychologicznej. Skala tak pojętej psychologji jest rozległa i obejmuje określone dzieła starej i nowej literatury. Na tej wspólnej płaszczyźnie mogliby się zejść, z pewnemi zastrzeżeniami, zarówno Chesterton jak Apollinaire, Morand, Erenburg, lub ostatnio Strug.

Tak, Strug. Psychologja jego nowel nie jest celem samym w sobie, jak zazwyczaj w powieści psychologicznej, — lecz jest jedynie podstawą dla nowej koncepcji anegdotycznej. W nowelach Struga niekiedy triumfuje, a zawsze prześwieca przez nie, nowa wartość powieści współczesnej, — autonomiczna, świetnie skonstruowana, prawie że nadrealna anegdota. Anegdotą ocieka „Lord Camelford", najbardziej pomysłowa, jaką znam, nowela polskiej literatury. Fascynujący bohater noweli, Dziadoszek, — człowiek - kino i człowiek śmiechu, przesuwa się w jaskrawym snopie światła całkowicie nierealistycznej koncepcji. I z tą samą ekwilibrystyką rozrzutnej, przepysznie swobodnej wyobraźni stworzony jest szereg pozostałych typów tej książki, Krystka, — stary profesor, który znał osobiście Mickiewicza, — i inni. Nawet metafizyczny chiński bałwanek.

A t. zw. zagadnienia życiowe i psychologiczne? Strug ma wiele do powiedzenia o zagadnieniu czynu i upiorności „przeżycia literackiego". Oddaje się też niekiedy przenikliwej i bystrej analizie psychologicznej. Ale gdyby nie te cechy, charakterystyczne dla starszego pokolenia literackiego musielibyśmy uznać Struga za rasowego pisarza nowoczesnego, jakim Strug nie jest, choć ma wszystkie dane po temu. I te dane właśnie uważaliśmy za stosowne podnieść. Uważaliśmy za właściwe zwrócić uwagę na pierwsze prawdziwie kulturalne wystąpienie, przerywające w polskiej literaturze romantyczną tamę czystej uczuciowości i wnoszące do powieści polskiej nowe walory intelektualistycznej twórczości.

Anatol Stern.

Piotr Choynowski. Dom w śródmieściu. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1924; str. 294 i 2nl.

Powieść o niedobrej Warszawie. Lata 1919 — 1920. Wielkie wydarzenia dziejowe i małe zmartwienia figurynek ludzkich. Historja dzieje się poza ich świadomością. W żołądkach — niepokój, w charakterach — śmietniczek, w duszach — nic.

Powieść o moralnem niechlujstwie mieszkańców stolicy. Bohater — Stefan Makomaski — gniewa się i burzy. Wrócił z frontu, spodziewał się w Warszawie wielkich rzeczy. Co zastał? To samo, co dawniej, tylko w takich czasach wszystko wygląda okropniej.

Fabuła? Stefan Makomaski, dzielny oficer i porządny człowiek. Lubi kobiety, ale źle trafia. Lalki, kokietki, histeryczki. A cóż poza niemi? W mieszkaniach— nieporządnie, z powodu prawa rekwizycji — tysiąc zmartwień, ochrona lokatorów też rodzi różne nieprzyjemne historje. Wuj Rudzki ciężko chory. Całe roje krewnych czyhają na spadek.

Wtem — wieści hiobowe, front się łamie, inwazja. Stefan rzuca wszystko, nawet piękną i sercu najmilszą Dziunię. Na wojnie sprawia się doskonale, jak i kilku jego znajomych, po których niktby się takiej brawury nie spodziewał.

Więc nie jest tak źle. Coś dobrego w ludziach czasem drzemie. Taki Podhorecki! Karciarz, hulaka, degenerat. A jak się bił wspaniale. Taki Moszkowicz, profesor! Dziwnie się ludzie zmieniają w okopach. Wogóle nie można być w sądach o ludziach zbyt surowym. Wszystko zależy od okoliczności.

Tak myśli Choynowski i zdaje się powtarzać za Maupassantem: „La vie n'est pas si mauvaise qu'on dit". Plugastwa dużo, ale i troszeczkę piękna.

Choynowski daje tu całą galerję typów odwiecznych, rzuconych na tło nowych czasów. Rasowe pióro stworzyło ciekawą powieść o nieciekawych ludziach. Ten sam, wiecznie ten sam mieszczuch, ten sam arystokrata i ten sam stróż domu... A jednak czyta się przyjemnie.

Dobrze się stało, że major Makomaski w końcu, po tylu perypetjach, ożenił się ze śliczną Dziunią. *jw.*

Jerzy Ostrowski. Obok życia. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1924; str. 219 i 5nl.

Myśli się po kilku stronicach, że to będzie znowu jakaś kryminalna awantura, nad którą zastanawiać się nie warto. Złodzieje, rzezimieszki, bandyci, więzienie... Czytać dalej czy nie czytać? Przeczytajmy jeszcze kilkanaście stron, bo w każdym razie pierwszorzędny styl. Cóż to za jeden ten Ostrowski? Aha! Jest i doskonały dowcip, rozmach, plastyka. Więc czytajmy jeszcze dalej. Prawdziwa niespodzianka. Oczywisty talent! I już bez wahania czyta się tę powieść ze wzrastającem zaciekawieniem.

Życie więźniów kryminalnych. Obserwacja nadzwyczajna. Charakterystyka prześwietna. Żadnej szarży, choć wszystko tu drga życiem, wre i kipi.

Franciszek Maciążek, lat 38, wielokrotny recydywista. „Zna prawo". Ale tylko w więzieniu. Jest fanatycznie przywiązany do przepisów więziennych. Gniewają go różne nowe, niepotrzebne ulgi.

„— Ci więzienie! — warknął złowrogo. — Do ogródka areśtantów wodzą, jak panienki... Żeby się kwiatków napatrzyli, psia ich mać! To to porządek jest? — warczał w twarz dozorcy — to więzienie z kwiatkami ma być? Żeby se areśtanty spacerowali jak na Saskiej Kępie?"

Maciążek zna porządek w więzieniu i każdemu dozorcy imponuje. Maciążek czuje się tam świetnie. Gardzi więźniami, którzy myślą o ucieczce. Nie znają prawa. Maciążek tylko na wolności nie wie, co to jest prawo. Ale w więzieniu— ho, ho! Żaden naczelnik tak przepisów nie zna.

Dzieje Maciążka i jego towarzyszów z celi — to barwny kalejdoskop, to subtelnie wydobyte, nowe przyczynki do psychologji duszy ludzkiej, bardzo pilnie oglądanej.

W p. Ostrowskim można powitać nowy talent. *jw.*

Poeci polscy po niemiecku

Amalthea - Bücherei. Zweiunddreissigster Band. Moderne polnische Lyrik. Anthologie deutscher uebertragungen. Herausgegeben von **Lorenz Scherlag.** Wiedeń, Amalthea-Verlag, 1923; str. 6nl. i XV i 3nl. i 287 i 9nl.

Jakież wspaniałe wydawnictwo! Świetne przekłady polskich świetnych i mniej świetnych poetów, od Asnyka i Konopnickiej — aż do najmłodszych! Jak to dziwnie — przeczytać sobie w obcym języku książkę, na którą złożyły się utwory samych Polaków i Polek. Co za paradne zbiegowisko! Niczem „Leipziger Mustermesse"! Siedemdziesięciu sześciu poetów i poetek wystawia co ma najlepszego. Wizy i przejazd gratis. Kogo tu niema? Spotykamy się prawie w komplecie, jakby na jakiejś wycieczce, albo w jakimś badzie. Wyglądamy niecodziennie, zgoła zagranicznie.

W jednej książce, w idyllicznej zgodzie i harmonji, mieścimy się obok siebie jak w pociągu Międzynarodowego Tow. Wagonów Sypialnych,—my, którzy w ojczyźnie mamy zwyczaj wodzić się za łby i toczyć bezkrwawo-atramentowe kampanje. Ze zdziwieniem spotykają się tutaj starzy przyjaciele: „Żegoto, i ty tu? — I ja tu"! Z jeszcze większem zdziwieniem spotykają się w tej antologji starzy wrogowie. Są tutaj reprezentowani byli ministrowie i urzędnicy kultury i sztuki, rektorzy i profesorowie uniwersytetów, — i muszą rzędem stać alfabetycznie obok utalentowanych maturzystów. Są tutaj narodowi demokraci obok socjalistów, są Semici, filosemici i antysemici, są katolicy, Polacy wyznania mojżeszowego i neofici, są nieprzejednani pozytywiści i naturaliści obok łagodnych, limfatycznych impresjonistów, lunatyków i ekspresjonistów. Dostojne matrony poezji obok starych, niezłomnych panien, mistycy w Chrystusie obok mistyków w Wenerze. Przymaszerowali „infanterzyści", jak Ostap Ortwin nazywa tych liryków, do których (w wierszu) zawsze „coś przychodzi nocą", „idzie ku mnie zdala" lub „kroczy hen". A więc piechota, obok „cyklistów", t. zn. poetów ujmujących „duszę" w cykle z trzema kropkami... Co tylko w Polsce od czasów Asnyka jako tako poprawnie się narymowało—znalazło tutaj reprezentację zagraniczną. Przyszli na ten turniej na Wartburgu nasi serdeczni Lwowiacy z Janem Kasprowiczem i Leopoldem Staffem na czele, górali: Orkana, Jedlicza, Gwiżdża przywiódł stary gazda Tetmajer. Wej! Po śwabsku gęślicki nase grajom! Przyszli truchcikiem wytworni Warszawianie, stara gwardja we frakach: panowie Chimera z Miriamem i Marją Komornicką na czele oraz Warszawiacy w uniformach z Or-Otem, „Tygodnikiem Ilustrowanym", Dębickim Zdzisławem i szabelką Słońskiego. Zwaliły się zadzierzyste Pikadory, z Lechoniem i Słonimskim, Tuwimem i t. d., a za nimi ciury najrozmaitszego wieku i pochodzenia. Jest też i „Ponowa" z dobrymi naprawdę poetami: Emilem Zegadłowiczem i Bolesławem Leśmianem. No i „Zdrój". Jakież bujne towarzystwo żywych i umarłych!

„Siadła sowa na przypiecku —
Hej-ha-hejże-ha!
Kazała grać po niemiecku!
Hej-ha-hejże-ha!"

Pocieszmy się jednak, że w tej antologji niema nikogo, kto byłby godzien imaginacyjnego portretu Antoniego Słonimskiego.

Przekłady są naprawdę pierwszorzędne. Lwia część tłumaczeń pochodzi od samego Lorenza Scherlaga, resztę tłumaczył jego brat, p. Marek Scherlag, oraz świetny literat wiedeński p. Otto Hauser. Język w tych przekładach jest klasyczny, dostojny i dźwięczny, cudownie przetwarza najtrudniejsze polskie osobliwości, rytmika zawsze odpowiada rytmice oryginału. Wprost wspaniale oddał p. Lorenz Scherlag w języku niemieckim takie utwory, jak „Dzwony" Staffa, wyjątki z „Księgi ubogich" i „Salome" Kasprowicza, lirykę Wyspiańskiego, Lechonia „Pieśń o Mackensenie", Tuwima „Dwa wiatry" i „Sokratesa tańczącego". Wiele utworów wypadło znacznie lepiej w przekładzie niż w oryginale, np. mój hymn o matce umierającej. Kiedy go czytam po niemiecku, porastam w piórka, zdaje mi się, że brzmię jak sam Goethe. Słowem, jest to wspaniała, przez artystę najpierwszej wody, mistrza wiersza niemieckiego, skomponowana książka, — i doskonale schlebia naszej próżności, t. zn. tych, którzyśmy wcale lub jeszcze trochę niegodni sławy, — trafnie oddaje sprawiedliwość tym, którym się poklask zagranicy dawno już należał, — oraz bardzo nie podoba się tym, którzy zostali w niej pominięci. Głównie jednak chodzi o to, żeby antologja p. Scherlaga trafiła do serc czytelników w Szwajcarji, Austrji i Niemczech, dla których jest przeznaczona, co dzięki wybitnym walorom poetyckim tłumaczeń pp. Lorenza i Marka Scherlagów i p. Otto Hausera powinno się najzupełniej udać. Jest to dzieło monumentalne.

Józef Wittlin.

WYDAWNICTWO B. RUDZKI
OPOWIEŚCI ZWIĘZŁE
BIBLJOTECZKA PRZEKŁADÓW
UKAZAŁ SIĘ T. VIII
W. B. YEATS
„HANRAHAN RUDY"
TŁUMACZYŁ MIRIAM

Historja literatury

Wiek XIX. Sto lat myśli polskiej. Życiorysy, streszczenia, wyjątki. Pod redakcją **Bronisława Chlebowskiego, Ignacego Chrzanowskiego, Aurelego Drogoszewskiego, Henryka Gallego, Gabrjela Korbuta i Manfreda Kridla.** Tom IX. Warszawa — Lwów, Gebethner i Wolff oraz Zakład Nar. Imienia Ossolińskich, (1924); str. 6 i 2nl. i 472.

Po dziesięcioletniej przerwie ukazał się nareszcie nowy tom wydawnictwa, przygotowany częściowo już w r. 1914. Wyszedł t. IX, ale komitet redakcyjny, nie dobrnąwszy jeszcze do końca, staje jednocześnie przed zadaniem powtórnego wydania tomów początkowych, oddawna wyczerpanych, a przygotowywanych obecnie do druku na nowych podstawach.

T. IX zawiera życiorysy, charakterystyki, wyjątki i streszczenia dzieł pisarzy, którzy rozpoczęli działalność literacką w kraju mniej więcej między rokiem 1840—50, a więc w okresie, gdy w Królestwie żelazny system Mikołajowski za pośrednictwem Paskiewicza gnębił myśl polską, gdy w Galicji wlokły się latami procesy przeciwko spiskowcom, a winni i niewinni miesiącami w twierdzach wyczekiwali sądu.

Wydany obecnie tom obejmuje przedewszystkiem pisarzy skupiających się w dwu kołach: jedno to entuzjaści i entuzjastki ze Żmichowską na czele, drugie to grupa cyganerji warszawskiej, a więc Dziekoński, Zmorski, Wolski i chwilowo do nich zbliżony Wilkoński. Zasada omawiania każdego autora osobno — i to przez różnych krytyków — nie pozwoliła scharakteryzować tych grup, jako całości, podać, jakie wspólne idee łączyły tych ludzi. Gabrjel Korbut, pisząc o Dziekońskim, poświęca nieco miejsca cyganerji, o entuzjastach zaś mamy tylko rozrzucone uwagi. Nie wiemy zupełnie, dlaczego Żmichowska, opisując we „Wstępnym obrazku" swych towarzyszy, umieszcza przy jednym kominku pozornie tak rozbieżne typy, jak Dembowskiego, Kamieńskiego, Balińskiego, Majorkiewicza i Bartoszewicza, t. j. ludzi, którzy jako pisarze mają najróżniejsze fizjognomje, od czynnego rewolucjonizmu Dembowskiego poczynając, a na Bartoszewiczu, jako historyku odległej przeszłości, kończąc.

Prócz tych dwu grup omówiono jeszcze pisarzy, którzy szli w owej epoce własnemi drogami, a więc Lenartowicza, przedstawionego przez Bronisława Chlebowskiego jako piewcę „Małego światka", któremu brakło sił do przedstawienia wielkich idej, do głębszego spojrzenia na życie. Obok niego, jako pewnego stopnia pedant, charakteryzuje Aureli Drogoszewski Kondratowicza. Prócz nich mamy jeszcze Zielińskiego, Czajkowskiego, Schmitta, Michała Balińskiego, Żeligowskiego, Aleksandra Grozę Wielogłowskiego i nieco czasowo nie odpowiadającego Mikołaja Malinowskiego.

Załączone do życiorysów wypisy ilustrują podane charakterystyki i są tem ciekawsze, że zawierają w całości lub w urywkach dzieła mało dostępne, często po śmierci autorów już nie przedrukowywane.

Pomimo ciężkich warunków wydawniczych, dwie największe firmy księgarskie polskie, podjąwszy w dalszym ciągu wydawanie „Stu lat myśli polskiej", powinny dołożyć wszelkich starań, aby wydawnictwo w jak najkrótszym czasie zostało ukończone.

Ig.

Stanisław Windakiewicz. Teatr kollegjów jezuickich w dawnej Polsce. Kraków. Polska Akademja Umiejętności, 1923; str. 51 i 1nl.

Praca niniejsza nie stoi na poziomie poprzednich studjów prof. Windakiewicza. Tytuł jej winien brzmieć nie „Teatr kollegjów jezuickich w dawnej Polsce", ale „Dwa rękopisy dramatycznych tekstów jezuickich". Nie jest to praca ściśle teatrologiczna i absolutnie nie wyczerpuje tematu. Nie uwzględniono szeregu rękopiśmiennych źródeł, prócz tego pominięto z zagadkowych powodów wielką ilość napisanych przez nauczycieli-jezuitów i grywanych po szkołach dramatów historycznych, dalej komedje Bohomolca, wreszcie charakterystyczne tłumaczenia, np. Woltera „La mort de César" przez Mokronowskiego. Należało także koniecznie zebrać wiadomości o obchodach świątecznych, zbadać inscenizację i reżyserję procesyj jezuickich.

Te wszystkie braki odbiły się fatalnie i na faktycznej stronie szkicu.

Widzimy, że nie czas jeszcze na wnioski ogólne; zgromadzenie całkowitego materjału, opracowanego na szeroko podmalowanem tle pedagogiki, retoryki i wogóle kultury zakonu jezuitów, porównanie widowisk swojskich z obcemi, wreszcie wyznaczenie scenie jezuickiej stanowiska w dziejach teatru ogólnopolskiego, — oto zadania, jakie będzie musiał spełnić przyszły a cierpliwy badacz, aby ukazać pełne i prawdziwe oblicze tego teatru.

el.

NOWOŚĆ!
KSIĘGARNIA F. HOESICKA
poleca HEGLA
„WSTĘP DO HISTORJI FILOZOFJI"
w przekładzie J. E. SKIWSKIEGO
Nowy tom „Bibljoteki Filozoficznej"
pod redakcją dr. Ignacego Myślickiego

Kronika muzyczna

„Słopiewnie" i „Rymy dziecięce" Szymanowskiego.

Na ostatnim koncercie kompozytorskim Karola Szymanowskiego nic mnie chyba bardziej nie zainteresowało, jak ów przełom zasadniczy, który zaznacza się tak wyraźnie w ostatniej dobie jego twórczości. Przełomem tym jest powrót do narodowych pierwiastków w muzyce. Nikt może z naszych kompozytorów nie był takim kosmopolitą, jak Szymanowski. Nic też bardziej nie zadziwia, jak zestawienie głębokich, potężnych nawet, pieśni do słów Micińskiego (dotąd z niewiadomych powodów niewydanych i nieznanych szerszemu ogółowi) z najnowszemi arcydziełami Szymanowskiego, jakiemi są „Słopiewne" i „Rymy dziecięce".

Po powrocie do kraju i po przeżyciu wraz z odrodzoną Polską niezapomnianych pierwszych lat jej istnienia, obudziło się w Szymanowskim ostre poczucie własnej rasy. Powstałe w kraju „Słopiewnie" i „Rymy" uderzają słuchacza swoją polskością. W „Słopiewniach" — tych „starożytnych pieśniach polskich", jak je nazywa kompozytor w przekładzie francuskim, — już z czysto formalnej strony, nie pogłębiając idei, — spotykamy się z elementami muzycznemi pierwotnego życia słowiańskiego, jak zawodzenie, hukanie, nawoływanie. Tak samo w „Rymach" formalna polskość da się skonstatować choćby przez dwukrotne użycie rytmu mazurka („Prosię", „Mieszkanie") lub przez wyraźne nawiązanie z piosenką ludową (w przedziwnej „Kołysance" i in.). Nie chodzi tu jednak o pewien folklor (którego zresztą Szymanowski nigdy „żywcem" do sztuki swej nie przenosi) ani też o pisanie „mazurków", — wiemy doskonale, jak mało jest polskości w rozlicznych „danses polonaises". Chodzi tu o duch owych utworów.

Szczupłość miejsca nie pozwala mi obszernie pomówić o drodze, którą przebył Szymanowski, a której resumé zaprezentował na ostatnim koncercie. Pielgrzymka ta znaczona jest śladami wspaniałych monumentów. Czekając sposobnej pory do obszerniejszego omówienia tej twórczości, pozwoliłem sobie skreślić, na marginesie niejako, powyższych parę uwag.

Jarosław Iwaszkiewicz.

Z powodu ostatnich wznowień w Operze.

Za trzy miesiące kończy się sezon operowy.

Można więc już spojrzeć wstecz i zorjentować się w dotychczasowych dążeniach i ambicjach Opery.

Zapewne, że taka retrospektywna refleksja każe skonstatować z przerażeniem, iż mimo wielokrotnych obietnic nie zapoznano nas ani z jednem dziełem muzyki współczesnej. I jedynie usprawiedliwiającą okolicznością jest świadomość, że właśnie wyraźnym celem i dążeniem opery było nie dopuścić na scenę żadnego z wybitniejszych twórców współczesnych, zapomnieć o klasycznym Mozarcie i wznawiać, „wznawiać" do znudzenia „dzieła" operowe z t. zw. wielkiego repertuaru.

Gdyby więc nie świetny sezon koncertowy pod dyrekcją Fitelberga w Filharmonji, stracilibyśmy zupełnie kontakt z muzyką światową. Opera jest martwa.

Reprezentacyjnemi względami tłumaczyły się zrazu pełne przepychu wznowienia „Pajaców", „Fausta", „Tannhäusera", wykonywane jednak pod względem muzycznym zaledwie poprawnie. Ale względy te nie tłumaczą szeregu wznowień następnych, a mianowicie dobrze już znanych oper Humperdincka, Masseneta i „Balu Maskowego", — które w miłej oprawie scenicznej z przed wielu laty zawdzięczać muszą istnienie w znacznym stopniu dobremu wykonaniu. Niestety, wykonanie wszystkich tych oper zawiodło. I nie dlatego, żeby opera nie posiadała poszczególnych wykonawców pierwszorzędnych: przeciwnie, Lewicka śpiewa pięknie Manon, Zboińska i Dygas porywają „operowością" Amelji i Renata, a panie Leska i Mankiewiczówną czysto interpretują kryształowe pieśni Humperdincka. Wykonanie zawiodło, bo całość muzycznie i orkiestrowo przygotowana była niedbale i dorywczo. Drugie przedstawienie „Jasia i Małgosi" robiło jeszcze wrażenie próby, i dopiero na dalszych p. Rodziński opanował należycie ukryte trudności prostej muzyki Humperdincka. O p. Mazurkiewiczu nie da się nic więcej powiedzieć ponad to, że mimo najlepszej może woli pozbawiony jest talentu. Z przerażeniem myśli się, iż w dalekiej przyszłości nabierze dopiero rutyny.

Niepojęte wydają się kaprysy, któremi powodowano się, kompletując zespół kapelmistrzowski.

Dyrektor Młynarski święci wielkie a słuszne triumfy w Anglji, Dołżycki dla niewiadomych powodów jest stale usuwany w cień, i oto cały repertuar w pełni sezonu spoczywa na barkach zdolnego ale b. młodego kapelmistrza Rodzińskiego. Zaiste, jeżeli repertuar opery już w zamierzeniach dyrekcji opierać się miał bez wyjątku na stałych a poczciwych wznowieniach, należałoby bezwzględnie odpowiednio skompletować zespół: nie usuwać rutynowanego a pewnego Hirszfelda, i dać możność młodym kapelmistrzom przynajmniej przygotowywać dzieła leżące na linji ich poszukiwań i talentu.

Stanisław Baliński.

Teatr

Teatr Komedja: „Cudowne medjum", komedja w 3 aktach **Stefana Kiedrzyńskiego;** reżyserja **Karola Borowskiego;** dekoracje **Stanisława Śliwińskiego.**

Niesmaczne robi wrażenie człowiek, który podlizuje się byle durniowi, żeby go nabrać na pieniądze. Gdy mimo nadskakiwania i mizdrzenia się, sztuczka się nie uda, wygląda to zupełnie ponuro. Lekkie, pełne wdzięku nabieranie na pieniądze ludzi złych i bogatych (każdy bogaty jest niedobry) ma swój charme, natomiast smutne i nieudolne zabiegi o wyłudzenie forsy upodlają zarówno nabieranego jak i nabierającego.

Podobne wrażenie robi sztuka p. Kiedrzyńskiego. Autor postanowił zarobić możliwie dużo i w tym celu uważał za stosowne zniżyć się do gustu publiczności, schlebiać i płaszczyć się przed audytorjum. Pomimo szczerych wysiłków kawał się nie udał. „Cudowne medjum" to poprostu guzik, i to bez personifikacji. Nie mniej uważam za przesadę oburzanie się pewnej części prasy na niefortunne zabiegi p. Kiedrzyńskiego. W czasach, gdy ludzie nabierają się wzajemnie przy płaceniu za pączki w Ziemiańskiej, gdy przyjaciele oszukują przy wypłacaniu honorarjum, i wszyscy palą cudze papierosy, — nie można się zbytnio oburzać za napisanie nędznej, głupiej farsy bez powodzenia. W każdym razie wolno się oburzać tylko o różnicę poziomu pomiędzy krytykami a autorem, która nie jest znów tak wielka. Dyrekcja Teatru Komedja skompromitowała się bardziej niż autor, ponieważ autor tylko nie zarabia, a teatr jeszcze dopłaca.

Ćwiklińska, Leszczyńska i Stanisławski męczyli się wraz z publicznością przez trzy akty. P. Szyfman powinien płacić specjalne tantjemy za granie w tej sztuce, w najgorszym zaś razie rząd powinien ofiarować aktorom krzyż pański pierwszej klasy i palmy męczeńskie.

Antoni Słonimski.

Plastyka

Salon Garlińskiego: Wystawa **Stanisława Śliwińskiego.**

Stanisław Śliwiński, którego prace wystawione są obecnie w Salonie Garlińskiego, jest od szeregu lat współpracownikiem Teatru Polskiego w dziale dekoracyjnym. Jego projekty dekoratorskie odznaczają się żywością barw i łatwością kompozycyjną, brak im natomiast częstokroć dostatecznego poczucia formy i bryły. Z tego powodu wydaje się słuszne, że artysta chętnie studjuje zabytki architektoniczne, a szereg studjów tych, które widzimy na wystawie, dzięki swej bezpretensjonalności oraz żywości w użyciu techniki akwarelowej, czyni miłe wrażenie swobodnych notatek. Temi samemi zaletami świeżości i bezpretensjonalności odznaczają się akwarelowe studja ptaków. Słabsze wydają się natomiast studja olejne, zwłaszcza portrety; potraktowane pobieżnie, bez dostatecznego pogłębienia barwy, są one raczej surowym materjałem, wymagającym dalszego opracowania; przy tem wszystkiem nie można im jednak odmówić łatwości malarskiej. Łatwość ta pozwala spodziewać się po Śliwińskim dalszego rozwoju, o ile studja jego pójdą we właściwym kierunku.

wh.

Pro domo sua

Nie odpowiadając na szereg napaści na nasze pismo, złączonych, mimo różnych odcieni, dużym zasobem złej woli, nieuczciwości i jadowitego kłamstwa, nie przypuszczaliśmy ani przez chwilę, że pierwszem pismem, któremu odpowiedzieć wszelako wypadnie, będzie „Głos Prawdy". Wdzięczni za najostrzejszą choćby krytykę, jeżeli ta krytyka polega na rzetelności i rzeczowości, — uważnie wsłuchani w głos doradczy najmniej kompetentnych, jeżeli szczerze pragną pomagać i prostować ścieżki, któremi kroczymy, — pełni podziwu nawet dla tych naszych przeciwników, którzy używają najostrzejszej i zatrutej broni polemicznej ze świetnym talentem i wyrafinowanem mistrzostwem, — nie możemy przejść w milczeniu wobec ataku, pozbawionego którejkolwiek z tamtych cech, przeciwnie — tryskającego niespotykaną wprost wulgarnością, ociekającego od insynuacyj, budowanego na motywach czysto osobistej niechęci czy nienawiści do jednego z założycieli „Wiadomości Literackich". Redaktor tygodnika, upatrujący w dzisiejszych czasach „geszefciarstwo" w założeniu pisma literackiego w Polsce, — oskarżający kogoś o brak „czystości intencji" i „szlachetności aspiracyj" tylko dlatego, że ten ktoś ośmielił się stworzyć ważną, jak sam przyznaje, placówkę kulturalną i że mu się osobiście nie podoba, — posuwający swą niewysłowioną drażliwość i subtelność tyle daleko, że rażą go nawet „niesmaczne" ogłoszenia w „Wiadomościach", — jest doprawdy w naszych warunkach czemś tak niezwykłem, że zaoszczędzimy sobie trudu polemiki. Pan *w. s.*, jadąc całą parą i marząc niepotrzebnie o laurach Nowaczyńskiego, wjechał niebacznie na fałszywy tor i wykoleił się. Leży obecnie, mocno poszwankowany, i — miejmy nadzieję — wstydzi się swoich pomyłek. Nie chcemy się nad nim znęcać.

mg.

Jako następne odcinki „Wiadomości Literackie" drukować będą utwory

Juljana Ejsmonda, Ferdynanda Goetla, Feliksa Gwiżdża i Stanisława Wasylewskiego

Kurjer kinowy

Maska Diany Karenne — Film „Rafaela ekranu" i inne filmy.

Diana Karenne—to jedno: nieruchoma epicka maska. Kiedy myślę w tej chwili o „Wiosennych porywach" (Apollo), prypominam sobie tylko tę twarz stężałą, która zasłania sobą film cały, świetlisty świat ekranu. Lekki skurcz warg jest tu dramatem, rozszerzona źrenica — całą przepaścią bólu, rezygnacji, wściekłości. Maska ta jest tak fenomenalnie zastygła, że każde drgnienie jej muskułów uderza widza i przeraża go, jak drgnienie twarzy Meduzy. Między czarnemi ogniskami jej oczu a zaciśniętą rysą warg zachodzi ten sam stosunek, co między pokrewnemi lecz odrębnemi organizacjami; sygnal centrów mózgowych przyjmują one niezależnie od siebie, w porozumiewaniu się ze sobą kierując się pewnym rodzajem sympatji. Patrząc na tę dziwną, urywaną, synkopowaną grę, widz wyczuwa wprost boleśnie intensywną, tajemniczą pracę mechanizmu nerwowego poza bladym ekranem twarzy, — jego wewnętrzne, ciemne życie.

Ta gra — to bunt przeciwko konwencjonalizmowi psychologicznemu w kinie. Wiadomo, jak skomplikowany jest mechanizm procesów emocjonalnych. Kino, pragnąc je zeschematyzować, stworzyło sobie szereg konwencjonalnych znaków, wyrażających rozmaite stany duchowe, stworzyło sobie mowę symbolów uczuciowych. Amerykanie np. w chwilach głębokiego wzruszenia podnoszą ręce na wysokość piersi i spazmatycznie wstrząsają pięściami (symbol ten, wprowadzony, zdaje się, przez W. Harta, powoli wychodzi z użycia), — w chwilach bardziej lirycznego wzruszenia, obejmując kogoś, lekko klepią go palcami, nie unosząc dłoni, — dla oznaczenia, że tamują płacz, przełykają ślinę, i t. p. Europejscy aktorzy posługują się mniej skoordynowaną i jeszcze naiwniejszą mową symbolów.

Diana Karenne jest tragicznym buntem przeciwko psychologji konwencjonalnej w kinie, — podobnie jak każda farsa amerykańska jest buntem przeciwko konwencjonalizmom komizmu. Gardząc konwencjonalizmem, pragnie ona ukazać wewnętrzne życie procesu emocjonalnego, rozczłonkowując go na poszczególne momenty, chwytając go na gorącym uczynku narastania. Filmy jej ukazują pod naskórkiem przeżyć życiowych widowisko nagiego procesu fizjologicznego. Diana Karenne—to wielki, klasyczny finał psychologji w kinie.

Na ekranach „Nowego" i „Pana" — „Messalina" Guazzoniego, którym biuro „Glorja" zachwyca się do utraty przytomności, nazywajac go „Michałem Aniołem, Leonardem i Rafaelem ekranu". Jest to coś w rodzaju włoskich „Tajemnic Paryża", — film pod każdym względem wulgarny, mogący liczyć na gusta tylko bardzo niewybrednej publiczności. Jeden gest Hayakawy z „Kraju przyćmionych lamp" (Varsavia), kiedy ten genjalny Japończyk zrywa z siebie pierścienie i spinki, aby wykupić ukochaną dziewczynę, — przerasta swym ogromem kilkanaście aktów tej tandety.

W „Filharmonji" film Rexa Ingrama „Romans królewski", pod względem charakteru reżyserji zbliżony do filmów Ince'a. Jest w tym „wojskowym filmie" (czy nie tem się tłumaczy pewna cechująca go sztywność?) parę scen godnych satyrycznego ołówka Grosza, — tego mieszczańskiego Goyi naszego wieku.

Anatol Stern.

PRZEGLĄD BIBLJOGRAFICZNY

Dwutygodnik informacyjny dla czytających i kupujących książki

pod redakcją
HENRYKA MOŚCICKIEGO

Prenumerata kw. c. z. 2.—; z przesyłką c. z. 2.50.

Prenumeratę przyjmuje administracja:
Zgoda 12. Konto P. K. O.: 8502.

Ciekawy odczyt

Z nader zajmującym odczytem występuje we wtorek dn. 11 marca, w sali Tow. Higjenicznego, Juljusz Kaden-Bandrowski. Autor „Generała Barcza", biorąc za temat „Literaturę w życiu Polski współczesnej", zamierza poruszyć szereg zagadnień literackich, które obejmują stosunek współczesnych prozaików i poetów do życia i publiczności czytającej do pisarzy. Oświetlenie, w jakiem stawia Kaden-Bandrowski ten rozległy temat, jest sensacyjne i obfituje w bogaty materjał polemiczny. Jak wiadomo, świetny pisarz kroczy stale w pierwszym szeregu nowatorów, jest sam bojownikiem nowych form i haseł, za które niejednokrotnie zwalczała go tak surowo nasza krytyka.

Specjalna część odczytu poświęcona ma być warunkom „fizycznym" bytu polskiej książki, stosunkom wydawniczym, umowom z wydawcami, wreszcie „lokautowi" polskiej książki. Kaden-Bandrowski kładzie na tę część odczytu znaczny nacisk, wychodzi bowiem z założenia, iż poinformowanie ogółu o tej stronie bytu autorów i literatury może mieć i dla jednych i dla drugiej ogromne znaczenie.

Bibljografja

Powieść, nowela.

Bogusław Adamowicz. Wojna z duchami (W starym dworze). Powieść, Warszawa, „Przegląd Wieczorny", 1924; str. 171 i 1nl.

Balzac. Komedja ludzka. Okładka rysunku *Wacława Widigiera.* Ludwik Lambert. Przełożył i wstępem opatrzył *Boy (Tadeusz Żeleński).* Przekładów Boy'a tom 75. Warszawa, Bibljoteka Boy'a, 1924; str. 8nl. i VI i 121 i 7nl.

Giovanni Boccacio. Labirynt miłości albo skrzeczący kruk. Tłumaczył z włoskiego, wstępem i objaśnieniami opatrzył dr. *Edward Boyé.* Warszawa, Hulewicz i Paszkowski, 1923; str. 6nl. i XII i 6nl. i 63 i 5nl.

Stefan Grabiński. Salamandra. Powieść fantastyczna. Poznań, Wydawnictwo Polskie, (1924); str. 4nl. i 163 i 1nl.

Edgar Allan Poe. Opowieści tajemne. Wyboru dokonał i z oryginału angielskiego przełożył *Stanisław Wyrzykowski.* Warszawa, Instytut Wydawniczy „Bibljoteka Polska", 1924; str. 4nl. i 269 i 1nl.

Bibljoteka Laureatów Nobla pod redakcją d-ra *Stanisława Lama.* Tom 22. *Henryk Pontoppidan.* Ziemia obiecana. Przełożył F. Mirandola. Lwów. Wydawnictwo Polskie, 1924; str. 4nl. i 554 i 6nl.

Zofja Kossak-Szczucka. Beatum scelus. Kraków, Krakowska Spółka Wydawnicza, 1924; str. 138 i 2nl.

Nasz konkurs

W następnym numerze — stosownie do naszej zapowiedzi — ogłoszone zostaną szczegółowe warunki konkursu „Wiadomości Literackich". Konkurs będzie polegał na trafnem odgadnięciu nazwisk szeregu autorów polskich, z których dzieł przytoczymy krótkie fragmenty. I nagroda wynosi 300 miljonów mkp.

CUKIERNIA
ZIEMIAŃSKA
WARSZAWA — MAZOWIECKA 12

Gebethner i Wolff
KSIĘGARNIA
NAKŁADOWA
WARSZAWA—KRAKÓW—LUBLIN
ŁÓDŹ—POZNAŃ—WILNO—ZAKOPANE

NOWOŚCI

CHOYNOWSKI PIOTR. Dom w śródmieściu. Powieść . . . 6—
DĘBICKI ZDZISŁAW. Poezje (1898—1923). Wydanie jubileuszowe . . . 9.—
HANDELSMAN MARCELI. Rozwój narodowości nowoczesnej . . . 6.—
KOPERNIK MIKOŁAJ. Rozprawy o monecie i inne pisma ekonomiczne, — **DECJUSZ J. L.** Traktat o biciu monety . . 6.—
MORAWSKI KAZIMIERZ. Rzym i Narody. Podbój Zachodu. Wschód i Łydzi . . . 4.—
OSSENDOWSKI ANTONI FERDYNAND. W ludzkiej i leśnej kniei . . . 10.—
OSTROWSKI JERZY. Obok życia. Powieść . . . 4.50
SIEDLECKI-GRZYMAŁA ADAM. Samosęki. Powieść . 7.—
SKARB RZECZYPOSPOLITEJ. Praca zbiorowa pod redakcją Henryka Tenenbauma, z przedmową Ludwika Krzywickiego . . . 6.—
WIEK XIX. Sto lat myśli polskiej. Życiorysy, wyjątki, streszczenia. Tom IX . . . 6.—
ŻYZNOWSKI JAN. Kamienie ugorne. Powieść . . . 6.50

Ceny zasadnicze. Obowiązuje mnożnik (od dn. 24.I 1924 aż do odwołania: 1.500.000). Do cen katalogowych księgarnie doliczają 20% dodatku sortymentowego.

WIELKI WIECZÓR POETÓW „SKAMANDRA"
odbędzie się dn. 8 lutego b. r., w sobotę,
W SALI TOWARZYSTWA HIGJENICZNEGO, KAROWA 31,
Z UDZIAŁEM
Jarosława Iwaszkiewicza, Jana Lechonia, Antoniego Słonimskiego i Juljana Tuwima
ORAZ
Marji Strońskiej i Marjusza Maszyńskiego (recytacja)
Bilety nabywać można w Księgarni Tow. Wydawniczego „Ignis" (E. Wende i Spółka), Krakowskie Przedmieście 9, w dzień Wieczoru — w kasie Tow. Higjenicznego.

„UNDERWOOD PORTABLE"
NAJLEPSZA MAŁA MASZYNA DO PISANIA
G. GERLACH
WARSZAWA — OSSOLIŃSKICH 4

TEATR QUI PRO QUO

Szopka Pikadora
w trzech aktach
dziś i codziennie
dwa przedstawienia: I o g. 7.15, II o g. 9.15.

„KSIĄŻKA"
SPÓŁDZIELNIA KSIĘGARSKA
Warszawa, Krucza 26, sklep od Hożej,
poleca następujące utwory poetyckie:
A. Stern i B. Jasieński — Ziemia na lewo . . . . . 4.—
Stande — Młoty . . . . . 1—
H. G. — Pochodnia (poezje) . . —.10
A. Gastiew — Poezja czynu robotniczego.
A. Słonimski — Parada (2 wyd.) 2.50
— Dialog o miłości ojczyzny 1.—
oraz
NOWĄ SCENĘ ROBOTNICZĄ
UTWORY SCENICZNE
M. Brauna, I. Golla i W. Majakowskiego.
Mnożnik księgarski. Katalogi na żądanie.
Wysyłka za zaliczeniem pocztowem.

DOM HANDLOWY
JEDWABIE, WEŁNY,
J. CWEJKO
BAWEŁNY, HURT. DETAL
WARSZAWA * BIELAŃSKA 23 * TEL. 21-43.

OD KRAKOWA DO WILNA
Tylko mydło Jeleń-„Schicht", dewiza przezornej gospodyni.
Tylko czyste pełnowartościowe mydło daje czystą bieliznę.
MYDŁO JELEŃ-„SCHICHT"
sporządza się wedle najnowszej metody z najwyszukańszych surowców i jest gwarantowanie czyste. Oczyszcza bieliznę łatwo a dokładnie i oszczędza delikatną tkaninę
Kto raz prał mydłem Jeleń-„Schicht", ten nie użyje już nigdy innego mydła.

"NASZE SŁOWO" SPÓŁKA KSIĘGARSKO-GAZETOWA
Marszałkowska 111, tel. 401-74
(W PODWÓRZU NA LEWO)
OSTATNIE NOWOŚCI LITERATURY ROSYJSKIEJ: POEZJA, BELETRYSTYKA, PUBLICYSTYKA, FILOZOFJA, PAMIĘTNIKI, HISTORJA REWOLUCJI, DZIEŁA NAUKOWE, TECHNICZNE i ROLNICZE, PODRĘCZNIKI i t. d.

Poezja:
Blok — Stichotworenja, t. I, II i III 15—
„ Teatr 4.50
Balmont — Iz mirowoj poezji . 5—
„ Soniety sołnca, mieda i łuny . . . 4—
„ Mariewo . . . . 6—
„ Pod nowym sierpam 6—
„ Zowy drewnosti . 5—
Jesienin — Pugaczew . . . . 2—
Kusikow — W nikuda . . . . 2—
Tartakower — Piewcy człowieczeskawo . . . 2.40
Beletrystyka:
Gen. Krasnow — Opawszija listja 6—
„ Ot dwugławawo orła k krasnomu znamieni . . . 30—
„ Poniat'—Prostit' 17—
Arcybaszew — Dikije . . . . 3—
„ Sanin 4.50
„ Pod sołncem . . 4—
Astrow — Indiejskija skazanja . 6.50
„ Skazanja drewniawo Wawiłona 6.50
Awierczenko — Smiesznoje w strasznom 5—
Biełyj — Zapiski czudaka, t. I i II 10—
Breszko-Breszkowskij — Na biełom konie 5.50
Kamienskij — Czernaja messa . 4—
„ Leda . . . . . 4—
Kamienskij — Moj garem . . . 8—
„ Pietierburgskij człowiek 6—
„ Studienczeskaja lubow' 4—
Szkłowskij — Piśma nie o lubwi 8—
Sentimientalnoje
„ putieszestwije 8.50
Tolstoj Al. — Lichije goda . . 6.35
„ Rukopiś najdiennaja średi musora pod krowatju . . 4—
Urwancow — Zawtra utrom . . 6—
Publicystyka:
Ajchenwald — Siłuety ruskich pisatielej, t II i III 10—
Arsenjew — Żażda podlinnawo bytja 5.50
Bierdiajew — Mirosoziercanje Dostojewskawo 7—
„ Filosofja nierawienstwa . . . 8—
Wolkonskij — Moi wospominanja 6.50
Karsawin — Filosofja istorji . . 15—
Dioneo — Anglja posle wojny . 12.50
Landau — Sumierki Jewropy . 12—
Historja rewolucji:
Dniewnik Impieratora Mikołaja II 16.50
Piśma Impieratricy Aleksandry Fieodorowny k Nikołaju II, t. I i II . . . . 12—
Hr Witte. Wospominanja, t. 1, 2 i 3 16.50
Pobiedonoscew — Piśma i zapiski, t. I i II . 50—
„ Archiw ruskoj rewolucii, t. I—XII . 13.50
Sir George Buchanan — Wospominanja dipłomata, t. I i II . 12—
Wojtinskij — Gody Pobiedonoscewa i porażenij . . . . . 9—
Mielgunow — Krasnyj terror w Rossii . . . . 10—
„ Dieła i ludi Aleksandrowskawo wremieni . . . . . . 9—
Akselrod — Pierežytoe i pieredumannoe . . . . 12—
Sztuka:
Łukomskij — Mebel . . . . . 5—
„ Sankt-Pietierburg . 10—
„ Staryje gody . . . 8—
Jewreinow — Tieatr kak takowoj . . . . . 6—
Nikolskij — Istorija russkawo iskustwa . . . . 25—
Stiepun — Osnownyja problemy tieatra . . . . . 6—
„ Żiźń i tworczestwo . 8—
Pietierburg w stichotworenijach russkich poetow . . . . . 31—
Wermel — Ałchimja tieatra . . 3—
W Warszawie zamówienia przyjmuje się przez telefon i książki dostarcza się do domu. Na prowincję wysyła się za zaliczeniem.
Księgarnie i bibljoteki otrzymują rabat.
Mnożnik 1.000.000

Towarzystwo Wydawnicze „IGNIS" (E. Wende i S-ka) S. A.
Warszawa, Krakowskie-Przedmieście Nr 7/9

Nowości beletrystyczne:
BANDROWSKI-KADEN JULJ. Wakacje moich dzieci 3.—
CONRAD-KORZENIOWSKI JÓZEF. Fantazja Almayera, powieść 5.50
— Murzyn z załogi Narcyza, powieść . . . . 6.—
— Sześć opowieści, nowele . . . . . 8.—
KIPLING RUDYARD. Kim, powieść, 2 tomy . . 5.20
LONDON JACK. Martin Eden, powieść, 2 tomy . 10.—
— Odszczepieniec, nowele . . . . . 3.—
— Opowieści mórz południowych, nowele . . . 4.50
— Serce kobiety, nowele, wyd. II 4.50
NAŁKOWSKA R. Z. Romans Teresy Hennert, powieść 4.—
SŁONIMSKI ANTONI. Droga na Wschód, poezje . 1.80
— Torpeda czasu, powieść . . . . . 4.—
STRUG ANDRZEJ. Kronika owieciechowska, nowele 4.—
— Mogiła nieznanego żołnierza, powieść, wyd. II 5.20
— Pieniądz, powieść 6.10

Najnowsze „Książki Ignisa"
Nr. 10. IWASZKIEWICZ JAROSŁAW. Ucieczka do Bagdadu, powieść . . . . . 2.—
Nr. 18. KUPRIN A. Podkapitan Rybnikow, opowiadanie 1.—

Ponadto sortyment bogato zaopatrzony w książki wytwornie oprawne, albumy, zbiory poezji i monumentalne wydawnictwa naukowe.
Mnożnik Związku Wydawców Polskich
20% dodatku drożyźnianego

Druk. L. Bogusławskiego, Warszawa, Świętokrzyska 11. Tel. 195-52.
Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.
Redaktor i wydawca: MIECZYSŁAW GRYDZEWSKI.